



RYANNE COREY

**Życ od
nowa**

**Tytuł oryginału:
When She Was Bad**



PROLOG

Jenny Louise Rossi stała oparta o maskę policyjnego wozu. Z rozdartym sercem patrzyła, jak płonie jej własny dom.

Wokół było słycać zawodzenie strażackich syren, a z długich węży obsługiwanych przez ludzi ubranych w żółte kombinezony wydobywały się strumienie wody.

Jenny miała ochotę powiedzieć strażakom, by dali spokój i przestali się męczyć. Była przekonana, że dom spłonie w całości. Ze wszystkim, co zawiera. Z całym jej dobytkiem. Było widać płomienie ognia pełzające po zasłonach okiennych parteru, a z rozbitych szyb na piętrze wydobywał się czarny, gęsty dym.

Zanim skończy się ta okropna noc, po budynku numer 16 przy ulicy Krokusów pozostanie tylko smętne pogorzeliśko.

Dlaczego to się stało?

Dlatego, że Jenny Louise Rossi była dobrą dziewczyną.

Podbiegł do niej strażak. Dyszał ciężko. Lśniący, żółty kaptur przekrzywił mu się na głowie.

- Jest pani pewna, że w środku nie ma nikogo? - zapytał.

- Tak. - Głos Jenny brzmiał beznamiętnie. - Ale sama mam ochotę tam wrócić.

Zdumiony strażak rzucił Jenny uważne spojrzenie.

- Wiem, że to klęśka dla pani. Proszę jednak zachować

zimną krew. Zanim się pani obejrzy, pożar będzie opanowany.

Jenny uśmiechnęła się słabo. Popatrzyła na nagietki rosnące w okiennych skrzynkach. Tonęły w czarnym dymie.

- Od samego początku wiedziałam, że przyrządzanie tych krabów było błędem.

- Krabów? - zdziwił się strażak.

-- Robiłam je na weselne śniadanie Durnhamów - wyjaśniła Jenny - Zapalił się tłuszcz, na którym się smażyły. Powinnam była przyrządzić coś innego, bezpieczniejszego. Na przykład *quiche*.

- Chyba jest pani w szoku. Może podać tlen?

- Wolałabym raczej dwutlenek węgla - mruknęła Jenny. Zaraz jednak przypomniała sobie nauki matki. Powinna zachowywać się grzecznie w każdych okolicznościach. Dodała więc szybko: - Proszę.

Strażnik machnął ręką i przywołał dwóch sanitariuszy, którzy właśnie wyskakiwali z dopiero co przybyłej karetki.

- Chodźcie tutaj! Ta kobieta wymaga pomocy!

- Żadna pomoc mi nic nie da, - rzeczowym tonem oznajmiła Jenny. Przed trzema tygodniami porzucił mnie narzeczony. Wyjechał do Las Vegas z egzotyczną tancerką. W ostatnią niedzielę skradziono mi samochód z parkingu przed kościołem, w czasie gdy śpiewałam w chórze. Wczoraj lekarz oświadczył; że mam zbyt wysokie ciśnienie wywoływane stresem. Przez całe pięć lat oszczędzałam na ten dom, który właśnie płonie. W każdym razie dziękuję panu za dobre chęci.

W tej chwili Jenny poczuła, że ktoś nakłada na jej twarz maskę tlenową i poleca wziąć głęboki oddech.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Świetnie rozumiem, panno Rossi, że pieniądze to kieszonkowa rekompensata za pani dom i firmę. Szkoda, że nie mogę ofiarować niczego więcej.

- Jest pan miły, panie Openshaw. -Jenny potrząsnęła wilgotną dłonią agenta ubezpieczeniowego. Równocześnie wolną ręką usiłowała rozluźnić kołnierzyk bluzki.

Pożyczyła ją sobie z szafy matki. Bluzka była zrobiona z poliestru, pachniała lawendą i była w biuście za ciasna. Garderoba Fredy Rossi składała się wyłącznie z poliestrowych ubrań.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała - ciągnął pan Openshaw - proszę się nie krępować i dzwonić do mnie.

Jenny popatrzyła na swego rozmówcę. Usiłowała sobie przypomnieć choćby jedną rzecz, której nie potrzebowała.

- To miłe z pańskiej strony, ale jestem pewna, że wszystko ułoży się dobrze. Mogę zamieszkać tutaj, u matki, zanim postanowię, co robić dalej.

Pan Openshaw ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Jeśli wolno, dam pani radę. Proszę się nie spieszyć. Tak ważnych decyzji, jak ta, nie wolno podejmować pochopnie. Może pani na przykład wpłacić pieniądze na konto emerytalne i na jakiś czas zamieszkać z matką. Ten stary dom jest duży. Jestem pewien, że Freda z radością przyjmie córkę jako lokatorkę.

- Jako lokatorkę- powtórzyła Jenny. Nagle zrobiło się jej duszno. Nie mogła oddychać. Zaczęła szarpać zbyt ciasny kołnierzyk, starając się zaczerpnąć świeżego powietrza.

- To jest myśli panie Openshaw. W tej chwili mama odbywa autobusem długą podróż z Ligą Juniorów po Wschodnim Wybrzeżu. Jeszcze nie wie o pożarze. Nie chciałam jej niepokoić i psuć wycieczki. Wraca dokładnie za tydzień. Do tego czasu podejmę decyzję.

Pan Openshaw przyjacielskim gestem poklepał Jenny w ramię.

- Ostrożność i cierpliwość. To najważniejsze. Ma pani w ręku czek na czterdzieści siedem tysięcy dolarów i jestem pewien, że wykorzysta go rozsądnie. Była pani zawsze dobrą dziewczyną, Jenny Louise.

Jenny uśmiechnęła się z przymusem i odprowadziła agenta do wyjścia. Zamknęła za nim drzwi i stuknęła czołem w dębową framugę.

Lokatorka mamy. Dobry Boże, jak to się stało, że do tego doszło? Chodziła teraz w matczynej poliestrowej bluzce i w jej domowych turkusowych pantoflach. Miała w ręku czek na czterdzieści siedem tysięcy dolarów. Rozważna z natury i oszczędna, poczeka, aż zaczną się w sklepach doroczne wyprzedaże i dopiero wtedy kupi sobie nowe ubrania.

Dlaczego?

Dlatego, że była dobrą dziewczyną. Każdy o tym wiedział. Z natury ostrożną, rozsądną, o gołęmb sercu. Nigdy nie skrzywdziłaby ani nawet nie rozczarowała nikogo.

Zakręciło się jej w głowie. Poczowała bolesny ucisk w żołądku. Usiadła na sofie matki i usiłowała poukładać fakty ze swego życia.

Urodziła się dwadzieścia pięć lat temu w Toluca, w sta-

nie Teksas. Dzieciństwo spędziła w należącym do matki domu z czerwonej cegły.

Jenny nie potrafiła otrząsnąć się z ponurego nastroju, który ogarnął ją sześć dni temu, po pożarze. Żal jej było nie tyle tego, co straciła, ile tego, czego nigdy nie miała.

Podniosła wzrok i popatrzyła na oprawioną w ramki fotografię stojącą na pianinie. Przedstawiała ją i matkę. Zdjęcie zrobiono na pikniku Ligi Juniorów z okazji Czwartego Lipca. Matka miała wysoko upięte włosy. Zawsze się tak czesała.

Freda Rossi była drobną, niepozorną kobietką. Przypominała ptaszka. Pozory mogą jednak mylić i tak było w tym przypadku. Mimo że często kładła się do łóżka* narzekając na różne dolegliwości, była silna jak wół. Nie chorowała, lecz odczuwała potrzebę ludzkiej sympatii i zainteresowania. Bądź co bądź była wdową samotnie wychowującą dziecko. Nikt nie potrafił odmienić jej losu, lecz każdy próbował. Zwłaszcza córka.

Ostry dźwięk dzwonka telefonu wyrwał Jenny z rozmyślań o matce i przeszłości: Nie było na świecie nikogo, z kim chciałaby w tej chwili rozmawiać. Mimo to jednak przeszła do kuchni i podniosła słuchawkę.

- Dobry wieczór pani. - Męski głos w słuchawce był wesoły i pewny siebie. - Jak się pani czuje w tak piękny dzień?

- A pan? - Jenny usłyszała własną odpowiedź. Odruchową.

- Dzwonię, droga pani, żeby zaproponować domową demonstrację naszego najnowszego, znakomitego odkurzacza. Oczywiście, nie będzie pani musiała...

- Idź pan do diabła - warknęła Jenny i odwiesiła słuchawkę

Stała pośrodku kuchni, oddychając ciężko, ze wzrokiem wlepionym w telefon. Patrzyła nań z takim obrzydzeniem, jakby aparat przemienił się właśnie w syczącego węża. Dobry Boże, jak mogła zrobić coś podobnego? Nigdy jeszcze w całym swoim życiu tak się nie zachowała, jak przed chwilą. To było niegrzeczne. Nie do przyjęcia.

I nagle Jenny poczuła się wspaniale.

- Do diabła z tym wszystkim - powiedziała cicho.

A zaraz potem zaczęła powtarzać głośno i dobitnie: - Do diabła, do diabła, do diabła!

Żwawym krokiem, z podniesioną głową, przeszła do salonu. Z całej siły kopnęła w ciężki, dębowy stół do kawy. Zabolęła ją stopa, lecz nadal czuła się dobrze. Coraz lepiej. Tym kopnięciem wyzbyła się wszystkich zmartwień z ostatniego tygodnia, z ostatniego roku i całego dotychczasowego życia. Serce Jenny biło mocno i równo. Dom, przyrządzanie potraw na wynos, narzeczony. Wszystko to się skończyło. Minęło bezpowrotnie.

No to co?

A dlaczego nie miałyby spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia? Trawnik był zapuszczony, a dom wymagał odmalowania. Jenny nigdy nie lubiła gotować; Otworzyła firmę organizującą przyjęcia tylko dlatego, że potrafiła to zrobić, a ponadto praca ta przynosiła jej stały dochód. Co się więc stanie, jeśli już nigdy w życiu nie pokroi żadnej cebuli? A co do byłego narzeczonego, Grahama Wexlera, to...

Jenny spotykała się z nim od dawna, bardzo regularnie. Wszyscy w mieście byli przekonani, że miły chłopak Wexlerów ożeni się ze słodką Jenny Rossi. Nikomu jednak nawet nie przyszło do głowy, że ten miły chłopak Wexlerów pryśnie z miasta ze striptizerką.

Kiedy to się stało, Jenny była załamana. W gruncie rzeczy: dlaczego? Teraz nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Uznała jedynie, że życie źle się z nią obeszło.

No to co?

I nagle Jenny ogarnęło przedziwne uczucie. Euforia. Poczula się wolna jak ptak. Tak jakby silny wiatr rozwiął w cztery strony świata pozostałości z jej dotychczasowego życia. Czy jeszcze kiedyś nadarzy się taka właśnie okazja do rozpoczęcia nowej egzystencji? Powstanie pole do zdobywania nowych doświadczeń?

Jenny spojrzała na czek, który upadł na dywan, kiedy kopnęła stolik. Wypisana na nim liczba była dobrze widoczna.

Jenny wyszeptała:

- Czterdzieści siedem tysięcy trzynaście dolarów i sześć centów.

I nagle doznała olśnienia. Wszystko stało się dla niej oczywiste. Z wrażenia aż ją zatkało.

Mogła kupić sobie nowy samochód. Nabrać do pełna benzyny, wsiąść i pojechać w dowolnym kierunku. Miała dość pieniędzy, by robić to, co zechce. Anonimowo. Może rozjaśnić włosy i z brunetki stać się blondynką, szesnaście razy przekłuć sobie uszy lub kupić nowe ciuchy, zbyt obcisłe w biuście. Jenny miała dość zważania na innych. Pragnęła robić to, na co sama miała ochotę. Po raz pierwszy w życiu. Nie ma się czego bać, pomyślała. Nie mam przecież nic do stracenia.

Drżącą ręką podniosła czek z podłogi. Wiedziała, że to, co zamierza uczynić, jest szaleństwem. Najbardziej zwiariowaną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła.

Może więc mimo wszystko czekało ją coś ciekawego w przyszłości?

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedząc obok dżipa, rozkraczonego przy autostradzie numer 90 w samym środku pustyni Gila, Traherne Tate Malone doszedł do ponurego wniosku.

- Te wakacje nie wypaliły - oznajmił głośno.

Spod podwozia wysunęła się głowa jego brata, Kitta. Miał zaczerwioną twarz, jasne włosy umazane smarem i zdecydowanie nieprzyjazny wyraz twarzy.

- Dla ciebie, brachu, nie ma żadnej nadziei. Nie potrafisz cieszyć się urlopem, gdyby nawet ktoś ci za to płacił.

Tray zaklął. Rzucił kamykiem w jaskrawo zieloną jaszczurkę.

- Uważasz, że dobrze się bawimy? Czemu mi o tym nie powiedziałeś? Nie sądziłem, że tkwienie pośrodku pustyni może być rzeczą zabawną. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że siedzenie na tyłku przez trzy godziny w piekielnym upale jest wielką frajdą. Nie przyszło mi nawet do głowy; że cztery dni posiłków złożonych ze spalonego jedzenia, oddawanie krwi moskitom i spanie ze skorpionami jest...

- Ty namówiłeś mnie na ten krótki wypad. - Spod dżipa zaczęło dochodzić miarowe stukanie młotka, przerywane pomrukami Kitta. - „Wreszcie się dogadamy. Znajdziemy wspólny język”, mówiłeś. „Bez kłótni i bez żadnych problemów. Będziemy tylko my dwaj. Przekonasz się; że będzie wspaniale”. No i co z tego wyszło?

Tray zagryzł wargi.

- Proponowałem, żebyśmy polecieeli samolotem do Mazatlan. Pamiętasz? Byłby to miły, cywilizowany wypoczynek. To ty nalegałeś na tę wyprawę, jako na „braterskie, wspólne przedsięwzięcie”. „Odmłodniejemy, badając tajemnice natury i podziwiając jej piękno”, twierdziłeś, o ile dobrze pamiętam.

- Bardzo cię przepraszam! Dopiero teraz widzę, że zbyt wiele po tobie się spodziewałem, sądząc, iż potrafisz dobrze się bawić. Przypuszczałem, że spodoba ci się mała eskapada i trochę spontaniczności. Okazało się, że popełniłem błąd. Powinienem wiedzieć, że nie potrafisz cieszyć się życiem. Podaj mi ten przeklęty klucz.

- Czym się tu przejmować, rzeczywiście... - warknął Tray. Podniósł się z ziemi i strzepnął warstwę kurzu pokrywającą dzinsy na pośladkach. - Niedobrze mi się robi od tego siedzenia, podczas gdy ty zabawiasz się w mechanika. Nie masz zielonego pojęcia o naprawie samochodu. Kitt, czeka mnie praca. Mam obowiązki. Jeśli chcemy wrócić do Phoenix, zanim nad naszymi głowami zaczną krążyć drapieżne ptaszyska, musimy zabrać się z kimś autostopem.

- Och, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?
- Głos Kitta był przepojony sarkazmem. Młody człowiek wyłonił się spod samochodu- Kiedy obchodził dżipa, obcasy jego wysokich butów zagłębiały się w asfalcie rozmiękłym od gorąca. - Od trzech godzin próbujemy zatrzymać jakiś wóz. Nikt nawet nie zwolnił na nasz widok!

- A może zastanowiłeś się nad tym, dlaczego? - Zdegustowany Tray obrzucił brata niechętnym spojrzeniem. Długie do ramion włosy Kitta, wypłowiałe pod wpływem pustynnego słońca, powiewały na wietrze. Czoło młode-

go człowieka było przewiązane brudną, żółtą przepaską. Bawełniana koszulka bez rękawów opadała na workowate szorty. Najbardziej jednak przyciągały wzrok skarpetki Kitta. Były jaskrawopomarańczowe. W zestawieniu z zielonymi sznurowadłami butów stanowiły zaskakujący widok. - Kitt, popatrz na siebie. Uważasz, że przypominasz normalnego człowieka? Wyglądasz jak ostatni idiota. Jak dziecko-kwiat, ślepe na kolory. Nikt nie zatrzyma się, żeby nas podwieźć, jeśli cię zobaczy. Musisz ukryć się za skałą. Zwężonymi oczyma Kitt spojrzał na brata.

- Sądzisz, że sam wyglądasz lepiej? - zapytał.

- Zawsze prezentuję się lepiej od ciebie - bez chwili wahania oświadczył Tray.

Kitt otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz szybko je zamknął. Brat miał rację. Zaledwie kilka dni temu w rubryce towarzyskiej gazety *Phoenix Sun Times* uznano Traherna T. Malone'a za najlepiej ubranego mężczyznę w mieście. Jego złote włosy nigdy nie były ani zbyt długie, ani zbyt krótkie. Nosił garnitury od najlepszych krawców, buty miał zawsze wyczyszczone do połysku i nigdy nie zdarzało mu się poplamić koszuli przy jedzeniu. Nawet teraz, w spłowiałych dżinsach i białej koszulce z dwoma poziomymi czerwonymi paskami, wyglądał świetnie. Od razu budził zaufanie.

Jego skóra lśniła. A może, pomyślał złośliwie Kitt, po prostu połyskiwała potem?

- Czemu tak głupio się uśmiechasz? - zapytał Tray.

Od pięciu dni byli razem i bez przerwy się sprzeczali.

Wszystko, co mówił i robił Kitt, denerwowało Traya coraz bardziej.

- Wcale się nie uśmiecham - odparł brat. - Pomyślałem sobie tylko, że to bardzo interesujące zobaczyć cię

w sytuacji, nad którą nie jesteś w stanie zapanować. Doprowadza cię to do białej gorączki. Mam rację?

- Jeśli kiedyś znajdę się w sytuacji, nad którą nie będę w stanie zapanować, niezwłocznie cię o tym poinformuję - wycedził Tray. Jego wzrok, zatrzymał się na linii horyzontu. - Nadjeżdża jakiś samochód. Schowaj się szybko. Ukryjesz się za skałą.

- Nie ma w pobliżu żadnego głazu, za którym mógłbym się ukryć.

- No to, do licha, znajdź choćby jakiś kaktus i ukryj się za nim! Nie chcę, żebyś wystraszył kierowcę. Po południu mam zebranie w banku, którego nie mogę opuścić. Tak czy inaczej, musimy się dostać do Phoenix.

- Mam pomysł. Genialny. - Kitt rozłożył się na poboczu, tuż przy jezdni. Zamknął oczy. - Będę udawał ofiarę wypadku. Teraz kierowcy będą zmuszeni się zatrzymać. Tray, zacznij rozpaczać. Wyglądaj na przerażonego.

- Do diabła, wstawaj natychmiast, zanim...

Było za późno. Samochód, model sportowy ze złożonymi ozdobami właśnie hamował i zjeżdżał na pobocze.

Na widok idiotycznego uśmiechu na twarzy brata Tray zacisnął pięści. Zwrócił wzrok ku niebu. Panie, modlił się, pomóż proszę, dowieźć tego idiotę z powrotem do Phoenix, zanim go ukatrupię.

- Co się stało? - Kierowcą była młoda, ciemnowłosa kobieta. Niemal całą jej twarz zakrywały ogromne okulary przeciwsłoneczne. Zostawiła silnik na luzie, zaciągnęła ręczny hamulec i szeroko otworzyła drzwi. Wyskoczyła z samochodu i podbiegła do leżącego nieruchomo Kitta. - Och, co mu się stało? To autostopowicz? Przejechał go pan? Dobry Boże, czy jest martwy?

-Nie jest martwy.- oznajmił Tray. Nagle doznał

ołsnienia. Już wiedział, co powiedzieć. - Zobaczył węża i zemdłał z wrażenia.

Kitt otworzył jedno oko. Patrzyło teraz ze złością na brata.

- Ty... - syknął, prawie nie poruszając wargami. - Ty wstrętny zdrajco.

- To szok - tłumaczył Tray zaskoczonej kobiecie. - Potwornie boi się węży. Ten był malutki, bardziej przypominał robaka, ale on zbladł jak ściana i zemdłał. Już dobrze, Kitt. Brzydki, wielki wąż sobie poszedł. Jesteś bezpieczny.

Kobieta uklękła obok Kitta. Miała na sobie niemodną od stuleci, błyszczącą bluzkę z długimi rękawami, spodnie z poliestru i dziwaczne sandały. Wyglądała na zmęczoną. Była mokra ód potu. Jedyne miłe wyjątek stanowiły jej włosy. Obficie spadające na ramiona, czarne i połyskliwe, przyciągnęły wzrok Traya;

- Nie powinien leżeć na słońcu-oznajmiła. Wyciągnęła przed siebie rozpostarte dłonie, osłaniając nimi Kitta.

- Tu jest strasznie gorąco. Ma pan wodę?

- Skończyła się dwie godziny temu. - Tray ukląkł i poklepał brata po policzku. -^ Wysiadł nam dżip. Usiłowaliśmy zatrzymać jakiś samochód, ale nic z tego nie wyszło. Biedny chłopiec. To było dla niego ciężkie przeżycie. Zawsze był wąły i delikatny. Kitt, czy mnie słyszysz? - Tym razem klepnął brata mocniej w policzekL

- Aha. - Leżący otworzył oczy i spojrzał na Traya. - Odwdzięczę ci się za to z nawiązką, zobaczysz. Wtedy, kiedy najmniej będziesz się spodziewał...

- Udar słoneczny - skonstatował Tray. Westchnął głęboko. Potrząsnął głową. -Nie martw się, bracie. Sytuacja opanowana. - Szerokim uśmiechem obdarzył dobrą samarytanę. - Nic mu nie będzie. Muszę tylko dowieźć go do

domu. Będę bardzo zobowiązany, jeśli zechce pani podrzucić nas do Phoenix.

Nieznajoma lekko się zawahała.

- Nigdy w życiu nie wozilałam nieznajomych.

- Proszę nie traktować nas jak zwykłych autostopowiczów - gładko wtrącił Tray. - Może uznać nas pani za znajomych. Nazywam się Tray Malone, a ten biedny chłopak to Kitt, mój brat. Pani...

- Jestem Jenny Louise Rossi.

- Już mogę się podnieść - mruknął; Kitt. - To jest bardzo niewygodna pozycja. Tray, zdejmij łokieć z moich żeber. Rusz się wreszcie,

Tray nie zwracał uwagi na słowa brata.

- Oczywiście, pokryjemy wszelkie koszty. Zapłacimy tyle, ile uzna pani za stosowne.

- Nie chodzi o pieniądze - odparła Jenny. - Tylko o...

- Urwała nagle i zaczęła przyglądać się obu braciom. Przenosiła wzrok z jednego na drugiego. - To zdumiewające. Dopiero teraz spostrzegłam. Jesteście bliźniakami, prawda? Identycznymi, to znaczy jednojajowymi Ale jak na dwóch ludzi o takich samych twarzach, wyglądacie zupełnie inaczej.

Twarz Kitta nagle się rozjaśniła.

- Tak. Miło, że pani to zauważyła. Tray znany jest z tego, że onieśmiela otoczenie. Jest wyniosły i nadęty. W przeciwieństwie do mnie. Jestem ulubieńcem wszystkich.

- Christopherze, jesteś prawdziwym skarbem. - Tray głębiej wepchnął łokieć pod zebra Kitta. - Pani Rossi, zechce pani zabrać nas ze sobą?

Jenny popatrzyła przez ramię na połyskujący w słońcu pas asfaltu prowadzący do Phoenix.

- Zawsze mi mówiono, że nie powinnam podwozić nieznajomych.

- I bardzo słusznie - odezwał się Kitt. - Możemy być przecież tajnymi agentami, fanatykami religijnymi, miliarderami, szpiegami, terrorystami, poszukiwaczami złota czy uciekinierami z zakładów zamkniętych. Lista jest nieskończenie długa, Wszystko może się wydarzyć.

Traya świerbiły palce. Miał ochotę zacisnąć je na szyi brata. Popatrzył na niego przymrużonymi oczyma.

- Kitt, piękne dzięki. Teraz z pewnością pani Rossi pomoże.

Dziwacznie ubrana młoda dama w przedpotopowych okularach przeciwsłonecznych zadziwiła obu braci. Wstała i obdarzyła ich szerokim, ciepłym uśmiechem.

- Ma pan rację - oznajmiła. - Wszystko może się wydarzyć. Namówił mnie pan, żebym was zabrała.

Jenny uznała, że mimo braku życiowego doświadczenia radzi sobie całkiem nieźle. Stała się właścicielką nowego samochodu. Miał przepiękną tablicę rozdzielczą, niczym statek kosmiczny. Posiadała nową, skórzaną walizkę wypchaną po brzegi szeleszczącymi dwudziestodolarowymi papierkami. Zakupiła atlas drogowy, przewodnik i informator turystyczny. A teraz miała jeszcze na głowie braci Malone.

Kitt usiadł na tylnym siedzeniu. Był przygnieciony górą sprzętu kempingowego, przeniesionego z dżipa. Tego chłopaka Jenny polubiła od razu. Żartował bez przerwy, najczęściej naigrawał się z brata. Jego długie do ramion, jasne włosy wyglądały egzotycznie. Przypominał skandy-nawskiego bandytę. Miał ponadto na sobie zdumiewający strój. Niepowtarzalny.

Najbardziej rzucały się w oczy jaskrawopomarańczowe skarpetki. Jenny uznała, że Kitt Malone musi być bardzo

odporny psychicznie, skoro nie przywiązuje żadnej wagi do własnego wyglądu. Wcale się go nie bała. Sposób bycia tego młodego człowieka sprawiał, że przy nim czuła się dobrze;

Galkiem inaczej rzecz się miała z Trayem Malone'em. Denerwował Jenny.

Odwróciła głowę, żeby rzucić mu ukradkowe spojrzenie, i w tej samej chwili zbyt duże matczyne okulary zsunęły się jej aż na czubek, nosa. Zagryzła wargi, poprawiła oprawkę i mocno zacisnęła dłonie na kierownicy. Przez parę minut prowadziła samochód, nie odrywając wzroku od szosy. Dopiero potem zdecydowała się ponownie spojrzeć na pasażera.

Miał włosy o ton ciemniejsze niż brat. Teraz rozwiewał je wiatr, lecz mimo to układały się wspaniale i miały idealną linię. Było widać, że strzygł je najwyższej klasy fryzjer. Rysy Traya emanowały męskością, której brakowało Kittowi. Miał śniadą cerę i oczy barwy miodu. Prawą brew przecinała cieniutka blizna. Nie szpeciła jednak pięknej twarzy. W tym człowieku czuło się siłę, której nie miał jego brat. Jenny musiała przyznać, że Tray Malone wywarł na niej duże wrażenie.

Skierowała wzrok ponownie przed siebie. Była zdumiona tym, co się z nią dzieje. Spoglądając na Traya, czuła się niewyraźnie. Nie był to jednak skutek udaru słonecznego.

- Jedzie pani po niewłaściwej stronie drogi - odezwał się nagle Tray.

Jenny oprzytomniała i szarpnęła kierownicą. Samochód zaczął jechać z tyłkami. Ogromna cysterna pędząca po przeciwległym pasie minęła go o włos.

- Trzeba trochę czasu, żeby przywyknąć do nowego

wozu - wyjaśniła Trayowi. - Niech się pan nie przejmuję. Sytuacja opanowana.

- Gdzieś już słyszałem te słowa - wtrącił Kitt. - Hej, nie mogę tu znaleźć pasa bezpieczeństwa. Cały ten kempingowy kram przywalił wszystko...

- Szukaj dalej. - Poblady Tray pospiesznie zapiął swój pas. - Do Phoenix jest jeszcze ponad sto kilometrów. Wszystko może się wydarzyć.

Jenny poruszyła się. Okulary znów opadły jej na nos.

- Stało się coś? - zapytała lekko zirytowana. - Mieliśmy katastrofę? Nie, nie mieliśmy. Każdy kierowca musi się przyzwyczaić do nowego wozu. To wszystko.

- A pani woli jeździć po niewłaściwej stronie drogi - mruknął Tray. Patrzył teraz na pojazd zbliżający się z przeciwległego kierunku. - Widzi pani tę furgonetkę? - zapytał Jenny.

- Jasne, że widzę - obruszyła się - nie ma pan do czynienia z idiotką. Jestem tylko ubrana idiotycznie, bo wszystkie moje ciuchy spłonęły w pożarze.

Tray spojrział na towarzyszkę podróży.

- Jeśli wolno zapytać, w jakim pożarze?

- Spłonął mój dom.

- Mówi pani o tym tak lekko.

- Nie powinnam opowiadać o moich nieszczęściach.

I użalać się przed obcymi.

- O pani nieszczęściach? Ile ich było?

Jenny uniosła wysoko głowę.

- To wszystko należy już do przeszłości - oznajmiła sucho.

- Nie chcę okazać się wścibski - zaczął niepewnie Tray - ale czy ma pani nowy samochód dlatego, że rozbiła pani poprzedni?

Na tylnym siedzeniu Kitt coraz bardziej nerwowo szukał swego pasa.

- Jeśli ma pani już za sobą skasowanie jednego wozu, będę czuł się lepiej, jeśli zapnę pasy - powiedział. - Zatrzymajmy się. Przesuniemy ten bagaż i... O, znalazłem! Nie, to tylko pasek od plecaka.

- Nie rozbiłam żadnego samochodu. - Jenny była już wyraźnie zła. Bracia Malone zdawali się zapominać, że to ona robi im przysługę. - Przyznaję, że spaliłam dom. Gotowałam i byłam trochę nieuwważna, Ale moje pitraszenie nie ma nic wspólnego z prowadzeniem wozu. Możecie więc obaj przestać się niepokoić.;

Tray spojrział przez ramię na brata.

- Sądzę, że jesteś usatysfakcjonowany. To wszystko stało się z twojej winy i dobrze o tym wiesz. Jeśli jakimś cudem dotrzemy cali i zdrowi do Prpenix, przysięgam, że...

- Koniec tego dobrego!- Jenny wcisnęła hamulec tak silnie, że aż zarzuciły koła. Zjechała na pobocze. Wyłączyła silnik, zdjęła ciemne okulary i popatrzyła na Traya. - Sądzi pan, że będę tu siedziała i słuchała, jak mnie obrażacie? Jestem dla pana miła, a pan wydaje się tego nie dostrzegać. Nikt pana nie zmuszał do wsiadania do tego samochodu. To pan prosił mnie o podwiezienie. Jeśli uważa pan, że grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo, droga wolna. Marsz przez następne sto kilometrów dobrze wam zrobi.

- Prawdziwa kobieta - z podziwem w głosie oznajmił Kitt. - Posłuchaj, jak przemawia.

Tray nie słuchał ani brata, ani Jenny Louise Rossi. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w parę najbardziej zdumiewających oczu, jakie kiedykolwiek widział. Były bla-

doniebieskie jak pustynne niebo i ciskały błyskawice. Tak jasne oczy u śniadej brunetki stanowiły prawdziwą rzadkość. Patrząc w nie, Tray poczuł ucisk w gardle. Nie potrafił oderwać wzroku od tej kobiety.

- No więc? - zapytała Jenny. Była rozzłoszczona. Gotowa wytargać Traya za ucho. - Słuchacie mnie? Dziś jest pierwszy dzień mego nowego życia. Będzie dobre. Podniecające. Od tej chwili będę przeżywała tylko wspaniałe chwile. Wyjaśniliśmy już sobie wszystko?

Miała mały, zadarty nos. A na nim trzy malutkie piegi. Rozpalone policzki sprawiały, że wyglądała jak bezbronne dziecko. Tylko jej oczy płonęły niezwykłym blaskiem. Uwidoczniały niespożytą siłę witalną ich właścicielki. Było w nich to, czego Tray nie był stanie odczytać.

Jesteś śliczna, pomyślał. Nie wiedział, że słowa te wymówił głośno. Jenny uniosła brwi.

- Co pan powiedział? - spytała.

- Nic. - Trayowi poróżwiały czubki uszu. - Nic.

Jenny spojrzała przez ramię na Kitta.

- Co mu jest? - spytała. - Ma udar słoneczny czy coś w tym sensie?

- Być może - odparł Kitt, z zainteresowaniem przyglądając się znieruchomiałemu profilowi twarzy brata. - To niespodzianka. Duże zaskoczenie. Tray jest zawsze opanowany. Skoncentrowany tak bardzo, że doprowadza mnie do szaleństwa. Pani jest ładna. Proszę wybaczyć, że tak mówię. Ale to zupełnie niepodobne do mojego brata, żeby tak nagle zbaraniał. Takie zachowanie się jest bardziej w riioim stylu.

Tray oderwał wzrok od Jenny i ze skupieniem zaczął przyglądać się cmentarzysku much na szybie samochodu. Przebywał zbyt długo na słońcu. Od zbyt dawna nie pił

wody. Zbyt wiele czasu ^pędził w towarzystwie brata. Wszystko to zaczynało odbijać się na jego samopoczuciu.

- Chcę jechać do domu - oświadczył z naciskiem.

- Czemu? - zapytał Kitt. - Teraz, kiedy poznaliśmy Jenny-Lou, nasze wakacje zrobiły się wreszcie interesujące, Wreszcie coś cię zaintrygowało, bracie.

Powinienem był to wiedzieć od samego początku, pomyślał Tray. Można było przewidzieć, że ta idiotyczna wycieczka jeszcze bardziej pogorszy jego stosunki z bratem. Zbyttno się od siebie różnili.

Starając się nadać głosowi łagodny ton, powiedział:

- Mam propozycję, Kitt. Nie do odrzucenia. Jeśli do chwili przyjazdu do Phoenix nie odezwiesz się do mnie ani słowem, dam ci dwieście dolców. I dorzucę drugie dwieście, jeśli przez cały tydzień będziesz nadal milczał.

- Zgoda - bez chwili namysłu odparł Kitt i zamilkł na dobre.

Zdumiona Jenny spojrzała na Trayą. Odrzuciła w tył włosy, które przylepiły się do jej policzków.

- Nie wierzę własnym uszom. Daje pan bratu czterysta dolarów za to, że nie będzie się do pana odzywał?

Tray uśmiechnął się zadowolony.

- Pieniądze przemawiają do Kitta. Zawsze.

Jenny potrząsnęła głową.

- Powinniście się wstydzić. Gdybym miała brata...

- Proszę wziąć sobie mojego - zaproponował Tray z nadzieją w głosie.

- Na pierwszy rzut oka wydaje się pan człowiekiem przemądrzałym i upartym - oświadczyła Jenny. - Zaczynam, współczuć, pańskiemu biednemu bratu.

W tyle wozu rozległy się energiczne pomruki wyrażające aprobatę. Tray rzucił Kittowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Czteryście dolarów - przypomniał łagodnym głosem.
- Jeszcze raz otworzysz usta, a umowę diabli wezmą. Chyba wspominałeś, że znów przekroczyłeś stan swego konta.

Jenny bębniła nerwowo palcami po kierownicy.

- Odeszliśmy od tematu. Sposób, w jaki traktuje pan brata, nic mnie nie obchodzi, w przeciwieństwie do tego, jak traktuje pan mnie. Nie daję sobą kierować ani pomiatać. Jeśli nie zamierza pan zachowywać się przyzwoicie, proszę wysiadać i zabawić się ponownie w autostopowicza.

- Bardzo panią przepraszam - odezwał się skruszony Tray. - Przez pięć dni przebywałem na pustyni. Chyba nie pojmuje pani, co to oznacza. Prawdziwy cud, że jeszcze jestem w stanie mówić do rzeczy. Boli mnie każdy mięsień. Jestem skrajnie wyczerpany, głodny, odwodniony.

- I niewdzięczny - dorzuciła Jenny.

- Mogę wydawać się taki...

- I niegrzeczny.

- Mogę wydawać się niewdzięczny i niegrzeczny, ale...

- I nieczuły.

Tray rzucił Jenny ostrzegawcze spojrzenie. Nie powinna przeciągać struny.

- W każdym razie mój żal do życia skrupił się na pani. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że panią spotkaliśmy.

Jenny postanowiła przyjąć te niezręczne przeprosiny. Wsunęła na nos ciemne okulary i uruchomiła silnik.

- Przebaczam panu - oznajmiła wielkodusznie. -

A w ogóle to możemy mówić sobie po imieniu. Mam w nosie konwenanse. Przynajmniej od tygodnia.

Tray starał się ukryć niepokój. Bez przerwy sprawdzał, czy pas ma zapięty.

- A co stało się tydzień temu? - zapytał ostrożnie.

- Przeszłam chrzest ognia. - Jenny wjechała z pobocza na szosę i przemknęła tuż przed potężnym domem na kółkach. Kierowca pogroził jej pięścią, a ona pomachała mu ręką. - Dokonałam ważnego odkrycia. Nieposiadanie niczego do stracenia wyzwala człowieka,

Tray czuł się dziwnie.

Nie bardzo wiedział, dlaczego. Po kilku dniach pełnych stresów znalazł się wreszcie w domu. Bezpieczny i zdrowy, znajdował się teraz w wykwintnym ośrodku hotelowo-rekreacyjnym White Mesa, gdzie jego nazwisko figurowało na wszystkich wystawianych czekach, a personel liczący ponad sto osób traktował go jak wszechpotężne bóstwo.

Stał teraz na półkolistych schodach przed głównym wejściem do budynku i obserwował, jak dwaj hotelowi chłopcy wyciągają z samochodu Jenny stopy sprzętu kempingowego. Tray przyglądał się nie ich pracy, lecz samej Jenny Louise Rossi.

Stała obok swego wozu, z rękami wetkniętymi do kieszeni spodni, i z ożywieniem rozmawiała z Kitem. Zaczął się odzywać, kiedy znaleźli się w granicach miasta. Bardzo się jednak pilnował, by nie zwracać się bezpośrednio do brata. W krytycznej sytuacji finansowej, w jakiej się znajdował, nie zamierzał stracić czterystu dolarów.

Jenny śmiała się z czegoś, co opowiadał Kitt. Zawsze był ulubieńcem otoczenia. Miał dar zjednywania sobie ludzi. Przechodził przez życie tak, jakby był dawno utraconym i odnalezionym po latach krewnym każdego, kogo spotkał. Brak ambicji nadrabiał chłopcęcym urokiem.

Jenny miała widocznie słabość do Kitta. Śmiała się z jego infantylnego dowcipu. Promieniowała radością i energią.

- Gdzie zanieść bagaż, proszę pana?

Przed Trayem stanął chłopiec hotelowy.

- Do mojego apartamentu. Brat zostanie tu pewnie na noc. Idź do recepcji i załatw mu pokój.

- Dobrze, proszę pana.

Chłopiec chwycił skwapliwie wózek z bagażem. Do Traya podeszli Jenny i Kitt.

- Sądziłam, że jesteś tu gościem - powiedziała Jenny.

- Ale wygląda mi na to, że pracujesz tu jako kierownik czy ktoś w tym rodzaju. Mam rację?

- Jenny-Lou, ugryź się w język - ostrzegł ją Kitt. - Pan Malone nie pracuje tu jako kierownik. Jest właścicielem tej oazy światowej elegancji. Dwieście pięćdziesiąt akrów wspaniałych ogrodów, trzy baseny z podgrzewaną wodą, Sześćset pokoi, pole golfowe, osiem kortów tenisowych, sala gimnastyczna i gabinet odnowy biologicznej, arka-dy ze sklepami, czterogwiazdkowa francuska restauracja, w której menu nie zawiera cen potraw, a także bar- miejsce spotkań młodych biznesmenów - oraz gaj cytrusowy przeznaczony do romantycznych randek.

- Powinienem zostawić cię na pustyni, kiedy miałem szansę - mruknął Tray.

Uśmiechając się szeroko, Kitt klepnął Jenny w ramię.

- Bądź tak dobra i poinformuj mego ukochanego brata, że zostanę tu na noc. Zrobiło się późno i jestem wykończony. Oczywiście pod warunkiem, że nie wystawi mi za to rachunku. Porozmawiałbym z nim bezpośrednio, ale nie mogę, bo stracę wygraną.

Jenny posłusznie odwróciła się w stronę Traya. Ledwie powstrzymywała się od śmiechu.

- Twój brat prosił mnie, żebym powiedziała ci, iż...

- Słyszałem. I jestem zachwycony

Tray nie spuszczał wzroku z żółtego samochodu Jenny. Wyjęto już z niego cały sprzęt kempingowy. Za parę minut pani Rossi usiądzie za kierownicą i odjedzie w nieznaną. Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby tu pozostać.

Tray wsunął rękę do kieszeni, lecz szybko ją wyjął. Uznał, że płacenie Jenny za podwiezienie do Phoenix nie jest dobrym pomysłem.

Ta młoda kobieta, mimo swych dwudziestu kilku lat, miała w sobie coś z naiwnego dziecka. Co się z nią stanie? Bóg jeden wie, w jakie wpakuje się kłopoty. Do tej pory działała wiele. Udało się jej spalić dom, stracić samochód i dać się omotać dwóm młodym ludziom na środku pustyni.

Tray popatrzył na miękką linię ciemnych włosów na policzku Jenny i jej mały, zadarty nosek. Nie, moja pani, nie zaleziesz mi za skórę, ppstanowił. Przy tobie może zdarzyć się wszystko. Jesteś jak bomba zegarowa. Podpalaczka, fatalny kierowca i zagorzała feministka w jednej osobie. Nie chcesz, żebym ingerował w twoje życie. Ja, też nie potrzebuję cię w moim.

Napotkał spojrzenie Jenny. Uśmiechnęła się do niego. Wyprostowała się i zaczęła masować sobie ramiona. Była taka drobna i malutka...

Serce Traya przepełniła falą czułości.

- To były okropne wakacje - oznajmił. - Jestem niezmiernie wdzięczny za to, że wybawiłaś nas z opresji.

Jenny wzruszyła lekko ramionami.

- Nie ma sprawy.

- Obaj z bratem nie mogliśmy się dogadać. Skakaliśmy sobie do oczu. Prawda, Kitt?

Milcząc jak grób, Kitt palcami złączył wargi. Udał, że zamyka je na klucz i wyrzuca go za siebie.

- Jeśli chcecie mojej rady - odezwała się Jenny - to już nigdy więcej nie wyjeżdżajcie na wspólne wakacje. Było miło was poznać. Okazało się to nie byle jakim przeżyciem. Czy któryś z was wie, gdzie jest najbliższa stacja benzynowa?

- Tak - odparł Tray.

Jenny czekała na dalszy ciąg. Zmarszczyła nosek.

- Gdzie? - zapytała niecierpliwie.

Tylko na tę noc, zdecydował Tray. Jedna noc niczego nie zmieni, a on nie miał serca puszczać jej samej w dalszą podróż.

- Jenny, może zostałabyś tu na noc jako mój gość?

-zapytał. - Ogromnie nam pomogłaś. Jedyne, czym mogę ci się zrewanżować, to wygodne łóżko i przyzwoite jedzenie w tym hotelu.

- Nie - odruchowo odrzekła Jenny.

- Dlaczego? -zdziwił się Tray.

Bo przyzwoita dziewczyna zawsze odmawia mężczyźnie, który w jednym zdaniu używa takich słów, jak hotel i łóżko. I nagle Jenny zirytowała się na samą siebie. Przecież była kobietą wolną i już dłużej nie musiała podporządkowywać się idiotycznym towarzyskim konwenansom. Nie było żadnego powodu, dla którego powinna odrzucić przyjacielską propozycję Traya. Jeśli nadał będzie się zachowywała jak zasuszona stara panna, nie przeżyje żadnych przygód.

Uśmiechnęła się do Traya.

- Masz rację - odparła. - Dlaczego by nie? Dziękuję za propozycję. To miło z twojej strony. Czy jest tu salon piękności? Jest mi bardzo potrzebny.

- Salon piękności? - powtórzył Tray. Nie nadażał za tokiem myśli Jenny. - Tak. Jest. Oczywiście. Ale przecież twoje uczesanie jest...

- Wiem. Okropnie banalne. Zaraz temu zaradzę. - Za-

błysły jej oczy. - Nie mogę się doczekać, żeby tam iść. Kitt wspomniał mi o sklepach pod arkadami. W tych przedpoptopowych ciuchach czuję się okropnie. Muszę kupić sobie coś nowego.

- Prawdę mówiąc, przydałoby się - przyznał Kitt. - Powiedzmy, że za dwie godziny zabierzemy cię na kolację. O siódmej?

- My? - powtórzył Tray, spoglądając na brata. - Co oznacza ta liczba mnoga?

Kitt wzruszył ramionami.

- Jenny-Lou, bądź tak dobrą i wyjaśnij memu bratu, że tylko z grzeczności użyłem liczby mnogiej- Jeśli ma inne plany, to niech się nie krępuje. We dwoje zjemy romantyczną kolację.

Tray wrzał ze złości. Jego anielska cierpliwość w stosunku do brata była już ną wyczerpaniu. Położył rękę na ramieniu Jenny i lekko pchnął ją w kierunku schodów.

- Jenny, kolacja z Kittem wcale by ci się nie spodobała. Nie umie prowadzić ciekawej konwersacji, nie używa serwetek, a jego długie włosy bez przerwy wpadają mu do talerza. A poza tym nie ma ani grosza przy duszy, więc nie stać go na postawienie ci kolacji, Skończyłoby się na tym, że musiałabyś uregulować rachunek.

- To nieprawda! - wykrzyknął Kitt. - Jenny, przypomnij, proszę, memu bratu, że mam u niego dwieście dolarów. Jest mi je winien. Byłaś świadkiem.

- Kitt prosi, żeby ci powiedzieć...-zaczęła Jenny. Traya ogarnęła szewska pasja.

- Powiedz Kittowi, żeby poszedł do diab...

- Zjemy razem kolację - zdecydowała Jenny. - We trójkę. Ale trzeba mi więcej niż dwóch godzin na przygotowanie się do niej. Umówmy się o ósmej, Zgoda?

- Zgoda - odparł Kitt. - Powiedz memu dziś wyjątkowo nerwowemu bratu, żeby mi pożyczył jakieś czyste ubranie. I brzytwę. I trochę przyzwoitej wody kolońskiej. Poczekaście na mnie!

Przez cały czas rozmowy Tray ani na chwilę nie zwolnił kroku. Nawet nie obejrzał się na brata. Jego dłoń nadal spoczywała na ramieniu Jenny. Przechodzili właśnie przez ogromne obrotowe drzwi. W ostatniej chwili Tray cofnął się tak, że znalazł się tuż za Jenny, zostawiając Kitta na lodzie.

- Zrobiłeś to celowo - stwierdziła zaskoczona Jenny. Uśmiechając się szeroko, Tray przyłożył rękę do serca.

- Ja? - zapytał. - To nie moja wina, że mój brat nigdy nie potrafi dotrzymać mi kroku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obszerny apartament Traya wyglądał jak pobojuwisko, a raczej jak plac do gier połączony z wyprzedająą sprzętu turystycznego. Namioty, plecaki, śpiwory, brudne sportowe buty i torby były porozrzucone po całym pomieszczeniu. Przejście przez salon równało, się pokonaniu pola minowego. Tray niechcący kopnął latarkę, nadepnął na turystyczną kuchenkę i wszedł na dmuchany materac, z którego wypompowano powietrze. Nie mógł znaleźć przyborów do golenia. Wszystko wokół było przesiąknięte dymem. W każdej chwili mogły uruchomić się umieszczone w suficie automatyczne zraszacze.

Drzwi do jego apartamentu gwałtownie się otworzyły. Stał w nich Kitt ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

- Spędzę dziś najbardziej satysfakcjonujący wieczór mego życia - oznajmił z błogim uśmiechem na twarzy.
- Kiedy wszedłem do swego pokoju, ona już tam na mnie czekała. Anioł wprost z nieba. Bardzo pojętny. Zaprağnąłem go nagle. Spodziewam się, że nasz związek potrwa co najmniej do jutrzejszego ranka.

Zaskoczony Tray popatrzył na brata.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał.

- Nie o czym, lecz o kim. O Eugenie Marie. - Kitt z zachwytem wymówił oba imiona. Wszedł do pokoju, obcasem zatrzęsął za sobą drzwi. Zaraz potem nadepnął na podręczną apteczkę, której plastikowe wieczko rozpad-

ło się na kawałki, ale on nawet tego nie zauważył. - Pracuje tutaj. Musisz ją znać. Zarządza pierwszym piętrzem.

- Nie dałem ci pokoju na piętrze.

- Fakt. - Kitt zrzucił z kanapy torbę sportową i usiadł. Oparł nogi na małej walizce leżącej na stoliku do kawy.

- Musiałeś się pomylić, przydzielając mi pokój. Znajdował się na parterze z widokiem na śmietnik. Mały, bez barku i jacuzzi. Dziewczyna w recepcji zachowała się jak należy. Sprostowała twoją pomyłkę; Powinieneś dać jej podwyżkę,

- Zrobię ją wiceprezesem spółki- odparł cierpko Tray.

- A ty, bracie, straciłeś właśnie dwieście dolarów. Zauważyłeś tu gdzieś przybory do golenia? Nie mogę ich znaleźć w tym rozgardiaszu.

- Do diabła, zupełnie zapomniałem, że mam się do ciebie nie odzywać. No, ale przynajmniej zarobiłem uczciwie pierwsze dwieście dolców. Nie próbuj mnie wykantować. Potrzebuję ich na dzisiejszy wieczór. Zaspokojenie pożądanego jest rozrywką kosztowną.

Tray poczuł nagłą ulgę.

- A Jenny? - zapytał. - Sądziłem, że chcesz zjeść z nami kolację.

W zamyśleniu Kitt zagryzł wargę.

- No, tak... Musiałem zmienić plany. To miła dziewczyna, zabawna i w ogóle... Ale nie w moim typie. Jest trochę za mało...

- Normalna?

- Pociągająca - poprawił Traya Kitt. - A poza tym znasz dobrze swego brata. Jeśli zachodzi obawa, że kobieta potraktuje mnie poważnie, biorę nogi za pas. Takie małe damy jak Jenny-Lou bywają niebezpieczne. Zanim się obejrzyś, wchodzi ci na głowę. Zaczynasz słuchać ich ulubionej muzyki, martwisz się, czy twój dezodorant jest sku-

teczny, i bierzesz dodatkową pracę, żeby zarobić na zaręczynowy pierścionek z diamentem.

- Ty nie masz żadnej pracy - przypomniał Tray.

- Drobiazg. Zawsze przywiązujesz nadmierną wagę do nic nie znaczących spraw.

- A taki facet, jak ty, nie powinien niczym się przemawiać!

- Byłoby to bezproduktywne zajęcie - przyznał Kitt.

- Słuchaj, jestem teraz w dobrym nastroju i nie mam ochoty na sprzeczkę z tobą. Możemy więc zmienić temat? -

Zdjął buty z walizki leżącej na stoliku. Zaczął się jej przyglądać. - O, to coś ciekawego. Widzę, że kupiłeś sobie nową. Czerwona skóra zdobiona złotymi gwoździami. Nie uważasz, że jest zbyt szokująca dla konserwatywnego biznesmena?

- To nie jest moja walizka. Nigdy przedtem jej nie widziałem.

- Z pewnością też nie należy do mnie - obruszył się

Kitt. - Czegoś takiego nigdy sobie nie sprawię. - Wziął

walizkę ze stolika i położył ją sobie na kolanach. - Na

pewno należy do Jenny. Chłopiec hotelowy musiał ją wyjąć z jej samochodu wraz z naszymi rzeczami.

Tray spojrzał podejrzliwie na brata, który zaczął manipulować przy walizce.

- Co robisz, Kitt?

- Zaglądam do środka. Wiesz, jak to jest, gdy się zerka do cudzej szuflady z bielizną. Człowiek czuje się winny, lecz powstrzymać się nie może.

- Zostaw w spokoju jej szufladę z bielizną! - wykrzyknął Tray. Podeszedł do brata i wyrwał mu z rąk walizkę. Kitt zdążył już odpiąć oba zamki. Otworzyła się, a jej zawartość rozsypała się po pokoju.

Prawdę powiedziawszy, rozfrunęła.

Obu braci zalał deszcz banknotów. Dwudziestodolarówek. Setki dwudziestodolarowych papierków. Znajdowały się wszędzie. Na kanapie i stoliku do kawy, na głowie Kitta i butach Traya.

Zdumiony Kitt nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Tray nadal trzymał rączkę walizki, która, otwarta, obijała się o jego nogę. Zaskoczony oniemiał.

Pierwszy Kitt odzyskał mowę.

- A więc poderwaliśmy na szosie bandytę w spódnicy. Ta kobieta obrabowała bank.

- Ma tu tysiące dolarów - dodał Tray. Gdzie tylko spojrział, widział oblicze Andrew Jacksona. Spoglądał z każdego banknotu.

Kitt wyjął z włosów szeleszczący papierek.

- Mówię ci, że Jenny obrabowała bank. Powiedziała: „Dajcie mi cały dwudziestodolarowy szmal”. I dali jej go bez wahania.

Tray pokręcił głową.

- Możesz się zamknąć? - warknął do brata. - Ta dziewczyna banku nie obrabowała. Przestań wyciągać bzdurne wnioski.

- Masz rację - przyznał Kitt. - Istnieją inteligentne wnioski, które mogę wyciągnąć. Ona pierze pieniądze dla mafii. Lub jest kobietą lekkich obyczajów, która nie uznaje trzymania forsy w banku. A może ją zdefraudowała. Dokończyła jakiś napad.

- Nazywasz to inteligentnymi wnioskami? No, nieważne. Na chwilę zapomniałem z kim rozmawiam. Pomóż mi pozbierać te cholerne banknoty i trzymaj język za zębami!

Zdziwiony Kitt podniósł głowę.

- Denerwujesz się, bracie? To do ciebie niepodobne.

Musiało ci zaszkodzić pustynne słońce. Tray Malone nigdy nie traci zimnej krwi. Mój brat jest mechanizmem. Każdego ranką włącza się go do sieci i wtedy zaczyna działać. Jak ekspres do kawy.

- Nie prowokuj mnie, Kitt. - Głos Traya brzmiał ostro.
- Pomóż mi włożyć te pieniądze do walizki.

Kitt zaczął zbierać banknoty. Poruszał się na czworakach.

- Co zrobimy?
- My nie zrobimy nic. To ja oddam Jenny walizkę. Jeśli jest jakiś problem, sam się z nim uporam. -Tray był zaniepokojony, ale nie zamierzał się do tego przyznać. - Sprawdź jeszcze pod kanapą. Musimy zebrać wszystko.

Kitt oparł się na łokciu i wyciągnął nogi.

- Jenny Louise Rossi nie jest chyba konwencjonalną małą kobietką, na jaką wygląda - oznajmił. - Może powinienem się nią zainteresować? Co ty na to, bracie?

Tray pedantycznie układał banknoty na stoliku. Ludzie zawsze uwielbiają Kitta, pomyślał. Ten chłopak potrafi bez trudu oczarować Jenny i owinać ją sobie wokół małego palca, Stwierdzenie tego faktu zapadło jak kamień w jego serce.

- Zajmij się lepiej Eugenie Marie - powiedział do brata.
- Hmm. - Kitt ułożył się na brzuchu, by sięgnąć pod kanapę. Jego długie, jasne włosy rozsypały się na dywanie. Stłumionym głosem zapytał:

- Bracie, to sugestia czy rozkaz?
- To ty wykazujesz umiejętność przewidywania, nie ja
- odparł Tray. - Więc sam zdecyduj, jak postąpić.

Jenny była tak wykończona całodziennym siedzeniem za kierownicą, że z chwilą gdy znalazła się w hotelowym

pokoju, padła na łóżko i natychmiast zasnęła. Na szczęście potrafiła budzić się na zawołanie. Otworzyła oczy dokładnie trzy kwadranse później.

Nadeszła pora zmian.

Jenny zadzwoniła do salonu piękności i umówiła się na wizytę. Z obrzydzeniem popatrzyła na swoje ciuchy. Nie musiała się już nimi dłużej przejmować. Miała walizkę pełną pieniędzy, a na dole w holu, widziała eleganckie butiki.

Rozejrzała się w poszukiwaniu walizki. Nigdzie jej nie dostrzegła. Obiegła cały pokój i łazienkę. Wyrzała nawet na taras, wychodzący na ogromny basen. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie położyła walizkę. Co gorsza, nie pamiętała, czy wyjmowała ją z samochodu i niosła na górę. Tyle było wrzawy, kiedy podjechali pod hotel. Ci biegający portierzy i obaj bracia Malone...

Pewnie walizka nadal leży na tylnym siedzeniu samochodu. Ostatni raz Jenny widziała swój wóz, gdy chłopiec hotelowy wprowadzał go na podziemny parking.

Co za idiotka ze mnie, pomyślała, biegnąc do drzwi wyjściowych. Jeśli walizka zginęła, przez całe życie będę nosiła poliestrowe ciuchy. I umrę z głodu. Sprzedam samochód i kupię bilet powrotny na autobus do domu. Koniec z nowym życiem. Koniec z przygodą.

Otworzyła szeroko drzwi i uderzyła twarzą w męski tors. Potężny. Umieśniony. Żeby nie stracić równowagi, schwyciła gościa za ramię:

- Stłukłaś sobie nos? - zapytał.

Znała ten głos. Należał do Traya Malone'a. Podniosła wzrok i wybuchnęła potokiem słów:

- Pomóż! Zrobiłam najgłupszą rzecz pod słońcem! Nie mogę w to uwierzyć. Ale nigdy nie miałam więcej niż pięć

dolarów przy sobie w portmonetce, więc nie byłam przyzwyczajona do martwienia się o większą ilość gotówki. Musimy ją znaleźć. Natychmiast!

- Uspokój się. Nic się nie stało.

Jenny schwyciła Traya za koszulę, Szarpała nią, usiłując wytłumaczyć mu wszystko. Bez rezultatu. Stał przed nią nieruchomy. Niewzruszony jak skała.

- Nie słuchasz mnie! Stało się! Stało! Prawdziwa klęska!

- Jenny...

Nagle zadrżała.

- To fatum. Zrządzenie losu. Skończę marnie. Znów będę gotowała. Smażyła jajka na bekonie i wątróbkę z cebulą. Nienawidzę gotowania. Gardzę tą robotą. Zajmowałam się nią przez całe pięć lat. Gotowałam codziennie. Jeśli nie znajdę tej gotówki...

- Jenny! - Tray podniósł walizkę do góry..- Spójrz tylko. Poznajesz? Chłopiec hotelowy myślał, że należy do mnie. Zaniósł ją do mojego apartamentu.

- Och! - Westchnęła głęboko. Poczuła ogromną ulgę. Beładna jak worek kartofli oparła się o Traya. Jęknęła:

- Przepraszam. - Byłam przekonana, że znowu zniszczyłam wszystko. Myślałam, że...

- Że co? - zapytał Tray.

Czuł się dziwnie. Stał przed szeroko otwartymi drzwiami hotelowego pokoju, a do jego piersi tuliła się kobieta. Zobaczył lekko rozbawione spojrzenie przechodzącego korytarzem kelnera. Ale czarne włosy Jenny pachniały słodko, upajająco. Nie miał wcale ochoty się poruszyć,...

- Byłam przekonana, że znów wszystko zniszczyłam - szepnęła. - Tym razem nie mogłabym zrzucić winy na nieszczęsne kraby.

- Musimy porozmawiać - rzekł Tray.

Jenny znów westchnęła głęboko, wyprostowała się i cofnęła o krok.

- Nie przejmuj się. Jestem osobą przy zdrowych zmysłach. Zachowuję się tak dlatego, że zaledwie parę dni temu uwolniłam się od konwencjonalnego stylu życia. Czy możesz dać mi moją...

Wręczył jej walizkę.

- Powiesz mi, co jest w środku? - zapytał. - Z twego zachowania się wnioskuję, że jest w niej coś ważnego. Tak bardzo się martwiłaś...

Jenny przycisnęła walizkę do piersi.

- To... to długa historia. Jesteś człowiekiem zapracowanym, masz mało czasu. Nie chcę zanudzać cię szczegółami.

- Zanudzaj. Proszę.

W głosie Traya było coś, co sprawiło, że słowo „proszę” zabrzmiało jak polecenie od wszechwładnego pana Malone.

- Ty już wiesz, co jest w środku - powiedziała Jenny.

- Otworzyłeś moją walizkę. Nie do wiary, Tray Malone, dżentelmen w każdym calu, naruszył cudzą własność! Ktoś powinien nauczyć cię dobrych manier.

- Wyjaśnisz mi wszystko, gdy znajdziemy się wewnątrz. - Tray czekał, aż Jenny cofnie się w głąb pokoju.

- Nie chcesz chyba, by nas słyszano na korytarzu.

- Prawdę powiedziawszy, w przeciwieństwie do ciebie, nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień. Nie powinieneś otwierać walizki.

Uśmiechnął się. Łagodnie. Ujmująco. Ujął Jenny za ramię i szepnął:

- Wejdź do środka.

Wyjął walizkę z zaciśniętej dłoni Jenny; a ją samą usadził na kanapie.

- Chyba mi nie ufasz - powiedział spokojnie. - A powinnaś. Przecież to ja przyniosłem ci zgubę.

- To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Przyjęłam pewną zasadę - z godnością wyjaśniła Jenny. - Nikomu już więcej nie muszę się tłumaczyć. Moje dotychczasowe życie było bardzo uładzone i nudne. I niczego w nim nie zyskałam dla siebie.

- Powiedz coś więcej - zachęcał Tray.

- Wiesz, czym się zajmowałam zaledwie kilka dni temu? Zaspokajałam potrzeby innych ludzi. Były ważniejsze niż moje własne. Byłam osobą praktyczną. I niezwykle nudną. Nigdy z niczego nie miałam frajdy. Nic dziwnego, że Graham mnie rzucił. Marzył pewnie o odrobinie podniety.

- Kto to jest Graham?

- Mówię o Grahamie Wexlerze. Byłam z nim zaręczona, lecz dwa miesiące temu wyjechał z miasta. Uciekł ze striptizerką o imieniu Raquel.

Traya aż zatkąło. Jenny spokojnie czekała, żeby ochłonął.

- Nie żartujesz - stwierdził po chwili.

Ta kobieta go zadziwiała. Różniła się tak bardzo od innych, które znał!

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że mówię prawdę. Kto by wymyślił taką historię? Samochód Raquel popsuł się, kiedy przejeżdżała przez nasze miasto. Mówię o Toluca w stanie Teksas - dała Jenny. - Warsztat, w którym naprawiała wóz, należał do rodziny Wexlerów. Tak się zaczęło. Graham poznał tę damę i spakował manatki. Chodząc do liceum, uprawiał zapasy. Raquel była z pewnością bardzo wygimnastyko-

wana. Tak więc musieli mieć z sobą wiele wspólnego. Jestem pewna, że są szczęśliwi.

Tray popatrzył na Jenny.

- Jesteś wyjątkowa. Niezwykła - oznajmił łagodnym głosem, - Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jestem całkiem zwyczajna - sprostowała. - Ale zamierzam się zmienić. Powiedz, jak wyglądałabym z jasnymi włosami?

- Skąd ta nagle zmiana tematu? Chcę się dowiedzieć, dlaczego podróżujesz sama, z walizką wypchaną dwudziestodolarowymi banknotami.

- To proste. - Jenny wiedziała, że musi mówić zwięźle i krótko, gdyż w przeciwnym razie nie zdąży na umówioną wizytę u fryzjera. - Tam, gdzie mieszkałam, to znaczy w Toluca, prowadziłam firmę zajmującą się przygotowaniem przyjęć, mieszczącą się w moim domu. Przed tygodniem smażyłam kraby i przy okazji spaliłam dom i cały dobytek. Postanowiłam wziąć pieniądze w gotówce należne mi z ubezpieczenia i opuścić miasto. Graham nie jest jedynym człowiekiem, który zapragnął poszerzyć swe horyzonty. Zrobię to samo;

- Och. - To, co usłyszał Tray, było gorsze, niż się spodziewał. - Tak więc postanowiłaś korzystać z życia.

Jenny rozpromieniła się. Dotknęła ręki Traja.

- Tak. W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia cztery lata. Nie jestem już bardzo młoda. Ale lepiej zacząć używać życia później niż wcale.

Miała drobne dłonie i malutkie paluszki.

Tray podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Jenny.

Uśmiech zamarł na jej wargach. W pokoju zapanowała krępująca cisza. Nie wiadomo dlaczego serce Traja zaczęło bić jak szalone.

Jenny szarpała nerwowo guzik przy bluzce. Lekko schrypnętym głosem powiedziała:

- Umówiłam się u fryzjera i muszę zrobić zakupy.

Czy... czy nasza kolacja o ósmej jest nadal aktualna?

- Kolacja? Ach, tak, kolacja. Oczywiście, Tak przecież ustaliliśmy.

Jenny ruszyła w stronę drzwi. Tray nie spuszczał z niej wzroku. Poruszała się lekko i swobodnie. Czubek jej głowy sięgał zaledwie jego podbródka. Otaczał ją zapach lawendy.

- Mam przyjść do twojego pokoju, czy wolisz, żebyśmy spotkali się na dole, w barze? - zapytał,

Jenny z uśmiechem otworzyła drzwi przed Trayem.

- W barze. Zawiadomisz o tym Kitta?

- On z nami nie idzie. Nieoczekiwanie zmienił plany.

Jenny oparła się o framugę. Skrzyżowała ręce na piersiach i rzuciła Trayowi sceptyczne spojrzenie.

- A więc znów się pokłóciliście.- stwierdziła. - Mam rację?

- Nie. Kitt ma zwyczaj zmieniać plany. Uważa, że jeśli ciągle będzie znajdował się w ruchu, nikomu nie uda się go przyskrzynieć.

- Zawsze słyszałam, że jednojajowe bliźniaki łączy ściśle pokrewieństwo dusz. Stanowią połówki jednej całości. Ale ty i Kitt tak bardzo różnicie się od siebie, że aż trudno uwierzyć w to, iż jesteście braćmi, a co dopiero bliźniakami.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Dziękuję, - Tray uśmiechnął się lekko. - A więc do ósmej.

W chwili gdy Jenny zamykała za nim drzwi, coś sobie przypomniał. Zastukał energicznie.

- Jenny! Jenny!

Otworzyła natychmiast.

- Co się stało?

- Wspomniałaś o rozjaśnianiu włosów. To był żart, mam rację?

Potrząsnęła głową.

- To nie żart. To eksperyment. Zamierzam się przekonać, czy blondynki mają w życiu więcej frajdy niż brunetki. A więc do zobaczenia..

Nie pozwolił jej zamknąć drzwi.

- Poczekaj. Nie powinnaś działać pod wpływem impulsu. To zły pomysł. Zastanów się jeszcze nad swoją decyzją. A co będzie, jeśli fryzjer pomyli się i użyje za dużo perhydrolu lub innego środka? Chcesz wyłysieć?

- Perhydrolu? - Jenny wzniosła oczy ku niebu. Och, ci mężczyźni. O niczym nie mają pojęcia. - Tego się już nie używa. Do rozjaśniania włosów stosuje się inne środki. A ponadto to nie twoja sprawa, czy będę łysa, czy nie. Masz chyba ważniejsze rzeczy na głowie, którymi powinieneś się przejmować. Czy nie musisz teraz zająć się swoją pracą?

Spróbował jeszcze raz.

- Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego będziesz potem żałowała. To wszystko.

- Mówisz tak, jakby od tego, o czym rozmawiamy, zależały losy świata. Dlaczego cię obchodzi moja osoba? To moje włosy, nie twoje. Potrzebna mi odmiana. Nowy wygląd.

- Jediną rzeczą, jakiej potrzebujesz, są okulary - wybuchnął Tray. - Twoje włosy są bardzo ładne. Takie lśniąco, seksowne...

Zawiódł go głos. Zachowywał się tak jak nigdy dotąd. Nie miał zwyczaju mówić o błahostkach. Jenny miała rację. Jej włosy to nie jego sprawa.

- Gadam jak sprzedawca zachwalający szampon - powiedział ciszej, starając się uspokoić.

- Seksowne - powtórzyła Jenny. - Nikt tak nigdy nie określił moich włosów. Piękne dzięki. To było bardzo miłe z twojej strony.

Skinęła mu ręką na pożegnanie i zamknęła drzwi.

- Miłe z mojej strony - powtórzył Tray.

Oparł czoło o framugę i zaczął rozcierać sobie kark. Nie wiedział, czy na kolację idzie z brunetką, czy z blondynką. Uciekinierka z Toluca postanowiła decydować sama za siebie i uczyć się na własnych błędach. Kitt miał więcej rozumu w głowie niż ona, uznał Tray.

Była to przerażająca myśl.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jenny zrobiła półobrót, przyjmując pozę modelki. Odzuciła w tył głowę oparła dłonie na biodrach i przymknęła oczy. Obraz w lustrze nadał ją zadziwia! Nowa sukienka, którą miała na sobie, była krótka, wydekoltowana, o prostym kroju. Delikatną beżowa tkanina opinająca ciało nie ukrywała niczego. Nawet tego, że Jenny nie miała na sobie biustonosza.

Szczupła sylwetka i sukienka ściśle przylegająca do ciała sprawiły, że piersi Jenny wydawały się obfite. Jak z takim biustem radzą sobie inne kobiety? Jak się poruszają? zastanawiała się Jenny. Wchodzą do pokoju, kołysząc piersiami o sterczących sutkach? Ekspedientka w butiku oświadczyła, że jej klientka ma figurę idealną do każdego stroju. Tak więc Jenny odważyła się na ekstrawaganckie zakupy.

Dopiero gdy wróciła na górę do pokoju hotelowego, ogarnęły ją wątpliwości. Takich strojów nikt w Toluca nie nosił. Z prostej przyczyny. Bo nikt by się nie odważył.

Nowo kupione sukienki leżały teraz porozrzucane na łóżku. Prawie wszystkie były ekstrawaganckie i mało praktyczne. Jenny wydała w butiku ponad trzy tysiące dolarów i nadal czuła, że nie ma co na siebie włożyć.

Spojrzała tęsknie na rzucone na podłogę poliestrowe ciuchy, szybko jednak wzięła się w garść. Musiała coś ze sobą zrobić.

Jeszcze raz spojrzała w lustro. Z jej uszu zwisały kolczyki w postaci długich wisiorków. Włosów nie rozjaśniła. Fryzjerka uformowała je w chmurę rozwianych loków. Jenny złapała nowo kupioną torebkę z beżowej tkaniny obszytej drewnianymi koralikami. Miała w niej niewiele. Klucz do pokoju hotelowego, kredkę do warg, grzebień i portfel.

Czuła się nieswojo. W przeszłości bywała zawsze tylko obserwatorem, starała się nigdy nie przyciągać niczyjej uwagi. A teraz? Występowała w całkiem innej roli. Przeistoczyła się w kobietę światową, elegancką i wyrefinowaną.

Żałowała jednej rzeczy. Że nosząc nową, wydekoltowaną sukienkę nie może włożyć biustonosza,

Był kwadrans po ósmej,

Po raz trzeci Tray wezwał do swego stołu hostessę.

- Kristin, jesteś pewna, że nie pytała o mnie żadną młoda kobieta? Od strony wejścia mój stolik nie jest zbyt dobrze widoczny.

- Tak, proszę pana - odparła hostessa, odrzucając na ramiona długie, platynowe włosy.

Po raz pierwszy od chwili zatrudnienia tej dziewczyny Tray zauważył, że jest jasną blondynką, z odrostem ciemnych włosów tuż przy skórze. Zaczynał zwracać baczną uwagę na kolor damskich włosów.

- Jeśli opisze mi pan tę panią, to od razu przyprowadzę ją do stolika - zaofiarowała się Kristin. Tray zamyślił się na chwilę.

- To niełatwe zadanie. Wiem, jak wyglądała po południu, ale co będzie wieczorem? Nie mam pojęcia.

- Dobrze, panie Malone. - Kristin skinęła głową, - Jestem pewna, że gość pański zaraz się zjawi.

- Daję jej jeszcze dwie minuty - mruknął pod nosem Tray. - Jeśli nie przyjdzie, sam się po nią wybiorę.

Młoda hostessa westchnęła. W jej oczach pojawiła się zazdrość.

- Każda z nas chciałaby mieć tyle szczęścia - szepnęła.

- Przynieść panu następnego drinka?

- Nie, dziękuję, Ledwie tknąłem poprzed...

Urwał. Serce podeszło mu do gardła. W wejściu do baru ukazała się Jenny, Jej oczy lśniły dziwnym blaskiem, a policzki pokrywał rumieniec. Tray stwierdził, że nie przebarbowała włosów. Opadały wzburzoną falą na nagie ramiona. Przypominała Cyganke.

Nie od razu dostrzegł, co Jenny ma na sobie. Ogarnęło go uczucie ulgi, że w ogóle się pojawiła i nie wyjechała. Nadal więc w pewnym sensie panował nad sytuacją.

Dopiero po chwili wzrok Traya zatrzymał się na stroju Jenny.

Sukienka przypominała beżową mgiełkę. Odślaniała znaczną część biustu i kolana. W delikatnej tkaninie tu i ówdzie połyskiwały złote nitki. Ten prosty w kroju strój uwidoczniłby wszystkie niedoskonałości kobiecego ciała, które przykrywał.

Niedoskonałości jednak nie było,

Młoda dama miała piersi pełne i ponętne, wąską talię i płaski brzuch. Przed sobą trzymała torebkę. Wyglądała prześlicznie. Jak róża rozkwitała przed oczyma zafascynowanego Traya.

Zaprzagnął nagle posiąść na własność Jenny Louise Rossi. Chciał wezwać służbę i polecić, by usunęła z sali wszystkich gości. Pragnął, by Jenny widziała tylko jego. I żeby nigdy nie spojrzała na żadnego innego mężczyznę.

Podniósł się powoli.

Zauważył, że Kristin wskazuje Jenny drogę do jego stolika.

Szła szybko, tak jakby chciała jak najprędzej usiąść i skryć się przed zaciekawionymi spojrzeniami innych ludzi. Na bardzo wysokich obcasach chwiała się lekko.

Zobaczyła wbity w siebie wzrok Traya.

Stała tuż przed nim.

- Wiem, wiem. Marnie mi to idzie - szepnęła, odsuwając krzesło i nie czekając, aż zrobi to Tray. Stał nadal, więc pociągnęła go niecierpliwie za rękaw. - Siadaj. Już jestem wystarczająco speszona. Ludzie na nas patrzą.

Opadł na krzesło. Nie mógł ochłonąć z wrażenia. Zamknął oczy, usiłując wziąć się w garść.

- Wybacz. Jestem zaskoczony. Wy tłumacz, proszę, co ci marnie idzie?

- Wchodzenie do restauracji. Poszłam na zakupy i sprawiłam sobie kiecki, których widok zatkałby Madonnę. Może zawładnął mną diabeł? Co przyszło mi do głowy, żeby je kupić? Przecież nigdy nie włożę na siebie tak ekstrawaganckich ciuchów! Zrobiłam z siebie widowisko. Umierasz teraz ze wstydu, prawda?

Umieram, pomyślał Tray, ale nie ze wstydu. Poczul, że ogarnia go podniecenie, któremu nie był w stanie się oprzeć.

- Czy wyglądam na zawstydzonego? - zapytał po chwili.

- Nie musisz być dla mnie miły - szepnęła Jenny. Przyłożyła dłoń do rozpalonego policzka. - Wiem, wiem. Kobieta wyzwolona niekoniecznie musi być seksowna.

- Jenny...

- Bycia seksowną nie zaliczam do najważniejszych zalet - ciągnęła szybko. - Ale od chwili ucieczki Grahama

ze striptizerką czuję się niepewnie. Prawda, że to zrozumiałe? Tysiąc razy zapytywałam siebie: co ona ma takiego, czego ja nie posiadam? Teraz już wiem.

Tray otwarcie przyglądał się falującemu z emocji biustowi Jenny. Ta dziewczyna była sumą przeciwieństw. Kobieta i dzieckiem! W tej chwili zwracała na niego niewiele uwagi. Była przejęta swoją nową rolą kobiety wyzwolonej i zaaferowana niecodziennymi okolicznościami, w jakich się znalazła.

Tray przełknął ślinę i Chrząnął.

- Aż boję się zapytać, ale to zrobię. Powiedz, co mogła mieć Raquel, a czego ty nie masz?

- Chodzi o postawę. Stosunek do życia. Obie jesteśmy podobnie wyposażone; ale Raquel wie, jak korzystać z własnych atutów. Sądziłam, że włożenie tej sukni całkowicie mnie zmieni. Tak się nie stało. Czuję się jak w teatrze, ubrana w sceniczny kostium.

Mówiąc z ożywieniem, Jenny zlizwała niemal całą szminkę z warg. Były obrzmiałe i bardzo apetyczne. Tray zapragnął nagle je pocałować. Przekonać się, jaki mają smak!

Żeby się uspokoić, wziął kieliszek do ręki. Wypił łyk alkoholu.

- Jenny - zaczął - wyglądasz bardzo ładnie.

- A ty jesteś dla mnie uprzejmy. Ale nie musisz mnie oszczędzać. Będę ci wdzięczna za każdą uwagę.

- Zatańcz ze mną - zaproponował ni stąd, ni zowąd.

I nagle uprzytomnił sobie, że jego podniecone ciało daje o sobie znać. Nienawidził takich zaskoczeń.

- Teraz? - zdziwiła się Jenny. - Chcesz, żebyśmy się zachowywali jak na prawdziwej randce? Naprawdę chcesz teraz ze mną zatańczyć?

- Nie. Za tydzień - mruknął.

Podniósł się z krzesła i pociągnął Jenny za sobą. Zrobił to gwałtownie i niezręcznie.

Broniła się przed tańcem. Mówiła, że w nowych pantoflach zaraz się przewróci. Tray nie zważał na protesty. Wziął Jenny w ramiona.

Przymknął oczy i dał się ponieść nastrojowej muzyce. Czuł ciepło bijące od piersi swej partnerki- Jej uda drżały lekko, ocierając się o jego nogi. Wsunął rękę pod gęste włosy na karku Jenny.

- Graham to nudny temat rozmowy - szepnęła jej do ucha. - A poza tym ten facet jest paskudny.

- Mylisz się. Nie masz pojęcia, jak wygląda,

- Wiem już o tobie sporo. Jestem bardzo spostrzegawczy. Nie chcę więcej rozmawiać o tym człowieku.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć - zaczęła Jenny - ale ludzie nie zawsze dostają w życiu to, na co mają ochotę. To cytat z książki autorstwa Jenny Louise Rossi, rozdział pierwszy

Tray poruszał się w takt muzyki. Rozpostarł dłonie na obnażonych plecach partnerki.

- Żyję na tyle długo, że zdołałem się już przekonać, iż od czasu do czasu los działa na korzyść każdego człowieka.

Jenny poczuła, jak w odpowiedzi na ruch bioder Traya twardnieją jej sutki. Czuła się jak w letargu. Tańczyła w ogniu pożądania, który wzniecił jej partner. Z kobiecą zalotnością spytała:

- Gdyby los miał ci dziś sprzyjać, czego byś zapragnął?

- Jenny! - W głosie Traya zabrzmiało ostrzeżenie. -

Uważaj, dziewczyno. To nie Toluca, a ja nie jestem Grahamem. Igrasz z ogniem. Jeśli chcesz napytać sobie biedy, jest duża szansa, że ci się to uda.

- Wiem, że nie jesteś Grahamem - odrzekła Jenny. Za-

chęcąco rozchyliła wargi. Płoneły jej oczy. - A z kłopotami jakoś sobie poradzę.

- Nie udaje się nam porozumieć. - Widząc rozbawioną minę Jenny, Tray westchnął głęboko. Boże, nie wystawiaj mnie na aż taką próbę, pomyślał. Jestem słabym człowiekiem.

- Tak sądzisz? - zdziwiona Jenny zmarszczyła nosek. - Prawdę powiedziawszy, czuję się teraz tak, jakbym porozumiewała się z kimkolwiek po raz pierwszy w życiu.

- Doceniłbym to, gdybyś nie doprowadzała mnie do szaleństwa - całkowicie szczerze odparł Tray.

Jenny pomyślała nagle, że ten mężczyzna trochę się jej boi.

- Ja? - spytała. - Jak możesz tak mówić! Czuję się urażona.

- Jesteś jak bomba zegarowa. Czyj to był pomysł, żeby tańczyć? To nie było mądre.

Jenny przybyło odwagi.

- Panie Malone, jest pan stanowczo zbyt konserwatywny i nienaturalny. Los sprawił, że znalazłam pana na pustyni. Jeśli połączymy nasze siły, to może uda nam się nawzajem wyzbyć zahamowań.

- Dziewczyno, zrozum jedno. Nie mam zahamowań. Mam natomiast ambicję i poczucie odpowiedzialności. Gdybym nie miał tych cech, nie różniłbym się niczym od Kitta. Co więcej, obaj bylibyśmy bez grosza. Mieszkalibyśmy pod namiotem gdzieś na pustyni, żywiąc się upolowanymi jaszczurkami.,.

- Nie musisz martwić się o to, że ktoś weźmie cię za Kitta.

- Dlatego, że jestem facetem konserwatywnym? - Tray chętnie udowodniłby Jenny swój brak konserwatywności. Do-

tknął jej brzucha, a potem umięśnionym torsem przygniótł biust. Usłyszał nierówny oddech. - A może takim, którego poczynania są łatwe do przewidzenia?

- Ani konserwatystą, ani człowiekiem łatwym do rozszyfrowania - schrypniętym z wrażenia głosem odparła Jenny. - Jesteś po prostu osobą, z którą należy się liczyć. W przeciwieństwie do Kitta, twardym facetem,

- Twardym facetem? - Nikt nigdy tak go nie nazwał. Inteligentny, ambitny, wyrafinowany, konsekwentny, przedsiębiorczy. Ale nigdy twardy.

Spodobało mu się to określenie. Poczul się jak Clint Eastwood.

- Nie mam na myśli twardego faceta w stylu Clinta Eastwooda - dodała Jenny, od razu rozwiewając iluzje Traja. - Ale twardego w sposób przemyślany. Zdyscyplinowanego. Zdolnego zrobić wiele, by osiągnąć upragniony cel. - Trudno było mówić i myśleć równocześnie. Jenny odetchnęła głęboko, lecz czuła się tak, jakby nagle zabrakło tlenu w powietrzu. - Gorąco tutaj, prawda?

- Tak. Masz rację. - Ogarniał go żar.

- Wyjdźmy z budynku. Jeszcze nie, widziałam tego romantycznego tarasu z cytrusowym sadem.

Tray świetnie wiedział, że wyprawa na romantyczny taras może skończyć się klęską i zniweczyć jego dobre intencje.

- Komary - rzucił. - W tej sukience zjedzą cię żywcem.

- Tchórz.

- Co powiedziałaś?

Wydawało mu się, że słyszy chichot Jenny. Przestał tańczyć i trzymając rękę partnerki w żelaznym uchwycie, poprowadził ją do stolika. Szedł przodem, żeby nie dostrzegła wyrazu jego twarzy. Nie był zbyt pewny siebie.

Musiał szybko ochłoniąć, więc usiadł pierwszy. Rozmyślnie nie wysunął krzesła dla Jenny, Jednym haustem wypił resztę swego drinka i dał znać kelnerce, żeby przyniosła mu następny.

- Jesteś na mnie zły - stwierdziła Jenny. Uległa fascynacji tańca, jego erotycznemu urokowi i bliskości Traya. Przy Grahamie nigdy tak sienie czuła. Teraz była podniecona i rozgorączkowana. Rozczarowało ją tak szybkie zakończenie zabawy. Siedziała teraz z ponurą miną, bębniąc palcami po stole. - Zrobiłam coś złego, prawda? Byłam zbyt bezpośrednia? Nerwowa? Chyba trzeba mi więcej doświadczenia w dziedzinie uwodzenia mężczyzn.

Tray unikał wzroku Jenny.

- Nie jestem na ciebie zły. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie chcesz ani tańczyć, ani wyjść na taras, ani ze mną rozmawiać.

- Ale oddycham. Uwierz mi, to duże osiągnięcie w istniejących okolicznościach. Czy w ciągu ostatnich trzydziestu sekund powiedziałem ci, że jesteś niezwykła?

- Zaczyna to do mnie docierać, że w twoich ustach nie jest to komplement - powiedziała szczerze. - Kitt ma rację. Należysz do ludzi, którzy wolą być konwencjonalni i konserwatywni; Wiem z własnego doświadczenia, jak trudno nauczyć się reagować spontanicznie. Wymaga to czasu i praktyki.

- Konwencjonalny - powtórzył spokojnie Tray.

Jenny zobaczyła grę napiętych mięśni na jego twarzy.

Zaniepokoiła się nagle.

- Tak, to miałam na myśli.

- Konserwatywny- dodał.

- Czy tak właśnie powiedziałam? - Zorientowała się, że drugie określenie też nie przypadło do gustu Trayowi.

-Miałam na myśli to, że... że jesteś inny niż Kitt. Musisz przyznać, że masz tendencję do... - Sfrustrowana Jenny westchnęła głęboko. - Tak. Jesteś trochę pruderyjny. Nie przejmuj się, ja też taka byłam. A ponadto drobiazgowy i pedantyczny. Odpowiedzialny człowiek, dążący zawsze do wykonywania odpowiedzialnych zadań.

Twarz Traya była nieruchoma. Jak Wyżłobiona z kamienia. Jenny niczego z niej nie umiała wyczytać.

-; A ty zniosłeś towarzystwo tego odpowiedzialnego człowieka przez więcej niż dziesięć minut i jeszcze nie umarłeś z nudów - powiedział łagodnie. - Zaslugujesz na medal, dziecino:

- Nie chcę cię krytykować - zapewniła Jenny.- Jesteś taki... spokojny, w przeciwieństwie do mnie. Nie wiem, czego chcę, więc zamierzam próbować wszystkiego. Byłam osobą konwencjonalną i to okazało się nieciekawe. Pragnę być spontaniczna, oczekuję niespodzianek, zaskoczenia, chcę się cieszyć i być przerażona. Popęlnić wszystkie możliwe błędy. Odczuwać... wszystko, co możliwe.

- Jasne - mruknął Tray.

Wstał raptownie z krzesła i pociągnął za sobą Jenny. Wyszli z sali, przeszli szybko przez hol. Tray otworzył ciężkie, dębowe drzwi z napisem „Prywatne”. Jak Kopciuszek, Jenny zgubiła po drodze jeden pantofel, ale jej towarzysz nie zwrócił na to uwagi.

Znaleźli się w ciemnym pokoju. Tray zamknął drzwi.

Nie zapalił światła Jenny poczuła, że stanął obok niej. Słyszała urywany oddech. Czowała ciepło bijące od jego ciała. Wiedziała, że jej pragnie.

- Potrzebujesz zaskoczenia - mruknął pod nosem.

Jenny usłyszała bicie swego serca. W napięciu czekała na rozwój wypadków.

Całym ciałem przycisnął się do jej pleców. Poczula, jak bardzo jest podniecony. Objął ją tuż pod biustem. Piersi Jenny zrobiły się nagle ciężkie i wrażliwe. Ożył w niej każdy nerw. Zacisnęła dłonie na drżących palcach Traya. Dotknij mnie, prosiła w myśli.

- Proszę.— szepnęła. Działy się z nią zdumiewające rzeczy.

Przestał się kontrolować. Z jękiem zatopił twarz we włosach Jenny. Zacisnął dłonie na jej piersiach domagających się pieśczoły. Całował kark, szyję i ramiona. Językiem drażnił policzki.

Wszystko działo się zbyt szybko, w sposób nie kontrolowany. Teraz nic nie było w stanie powstrzymać Traya. Obrócił Jenny w ramionach i zaczął namiętnie całować jej rozchylone, obrzmiałe wargi. Pieścił je językiem.

Miał zbyt wiele doświadczenia, by nie spostrzec, że Jenny oddawała mu się całkowicie. Jej palce wbijały się w jego ramiona. Mógł posiąść ją tutaj, w biurze. Na skórzanej kanapie lub na puszystym dywanie.

Dotychczas nigdy nie miały nim takie emocje. Ta kobieta go ożywiła, obudziła w nim każdy nerw. Stał się wrażliwy na wszelkie doznania.

Zaprzagnął jeszcze raz popatrzeć na Jenny, zanim podda się ostatecznej fali pożądania. Sięgnął po omacku i odnalazł wyłącznik światła. Zapalił lampę pod ścianą.

Najpierw zobaczył oczy Jenny. Ogromne źrenice, rozszerzone pożądaniem.

- Lubię ciemność - szepnęła. - Przedtem nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jako dziecko panicznie bałam się ciemności. Ale ona podnieca. Jak wszystko, co dzieje się w sekrecie...

Zgasila lampę.

Tray znów ją zapalił.

- Co ja robię? - szepnął.

- Nic - odparła Jenny. -Tray, co...

- Kitt miał rację. Prorokował, że jeśli kiedyś stracę głowę, to na dobre. - Zamknął oczy. - Nie bój się. Wszystko jest w porządku.

Uderzyła go lekko w ramię.

- Wiem. Popatrz na mnie. Czy wyglądam na przestraszona?

Otworzył oczy i dotknął policzka Jenny.

- Nie. Wyglądasz ślicznie. Mógłbym zatracić się w twoich oczach.

- Naprawdę? - Popatrzyła zdumiona na Traya. Drżała gwałtownie. - Nikt czegoś takiego jeszcze nigdy mi nie powiedział. Jest pan naprawdę miły, panie Malone.

- A ty powinnaś być bardziej ostrożna, Jenny Rossi. Powinnaś pomyśleć o konsekwen...

- Nie chcę. Myślenie jest rzeczą niezdrową. W przeszłości zbyt wiele myślałam. Teraz będę żyła spontanicznie i zobaczą, co się wydarzy.

Przymrużonymi oczyma Tray. popatrzył na Jenny.

- Uwierz mi. Wiem, co się wydarzy,

- No to na co czekasz...-szepnęła.

Wargi Traya znalazły się na jej ustach.

Od doznawanych pieszczot Jenny zrobiło się gorąco. Nie była równorzędną partnerką dla Traya i zdawała sobie z tego sprawę. Pragnęła rozplakać się jak dziecko, kiedy oderwał wargi od jej ust. Odsunął się o krok. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

-Przepraszam -szepnął. - Twoje wargi... Nie chciałem ich poranić...

- Dobrze mi z tym - odparła półprzytomnie. - Przy Grahamie nigdy się tak nie czułam. Jak sobie pomyślę, co traciłam...

Tray wydawał się nie słyszeć słów Jenny.

- Nie powinienem tego robić. Ale chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo podniecasz mnie tą swoją niewinnością. ..

- Dlaczego tak nagle odsunąłeś się ode mnie? Poczul pustkę wokół siebie. Jak z oddali usłyszał pukanie do drzwi.

Do czego dążysz, Tray? zastanawiała się Jenny, krzyżując ręce na piersiach. Popatrzyła na swego towarzysza. Jak na swoje lata wyglądał bardzo młodo. I rozczulająco. Jeszcze nikt nigdy tak bardzo jej nie pociągał, jak on w tej chwili.

Nie usłyszeli uchylających się drzwi. Z transu wyrwał ich dopiero zduszony szept Kitta:

- Wiem, że tu jesteście, zwariowane dzieciaki. Przecho-
dząc przez hol, zrobiliście z siebie przedstawienie.

Zajrzał do pokoju. Z palca zwisał mu pantofel Jenny. Milczeli jak zakłęci.

- Wybaczcie, że wchodzę i wam przeszkadzam, ale Jenny-Lou może potrzebować swego bucika. W jednym gotowa całkowicie stracić równowagę.

- Przepraszam - szepnął Tray do ucha Jenny.

- Coś mówi mi, że zjawilem się nie w porę - oświadczył Kitt. - Udajmy, że mnie tutaj w ogóle nie było. Uroczą Eugenie Marie czeka na mnie, więc...

- Jadłeś już kolację? - zapytał Tray brata.

- Nie. Zarezerwowaliśmy stolik na dziewiątą. W ciemnym kącie, więc będzie można...

- Zjemy razem z wami - oznajmił Tray.

Popatrzyli na siebie zdumieni. Jenny na Traya. Tray na Jenny, a potem na Kitta. Kitt na Traya.

Pierwszy odzyskał mowę Kitt. Westchnął głośno, po czym stuknął głową o framugę drzwi i z miną męczennika powiedział:

- Dobry pomysł. Właśnie zamierzałem wam to zaproponować.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dla Jenny kolacja w towarzystwie braci Malone i Eugenie Marie nie była miłym przeżyciem.

Tray jadł niewiele i mówił jeszcze mniej.

Kitt pił i jadł z entuzjazmem. Brak skutków pochłoniętego alkoholu sprawił, że Jenny zaczęła podejrzewać go o to, że miał w piciu dużą wprawę.

Eugenie Marie, pełna życia ciemnooka piękność, która towarzyszyła Kittowi, sama prowadziła błyskotliwą konwersację, z szybkością karabinu maszynowego zadając pytania i odpowiadając na nie.

Jenny, uwięziona w nowej sukience, przylegającej ściśle do ciała, próbowała zachowywać się swobodnie w niezręcznej sytuacji.

Tray nie ułatwiał jej tego zadania. Nie zainteresowany jedzeniem, milczący, miał wiele wolnego czasu, by obserwować Jenny. Przyglądał się jej włosom, oczom, wargom, obnażonym ramionom i piersiom. Był zatopiony w myślach i nieobecny duchem.

Nerwy Jenny były napięte do ostateczności na długo przedtem, zanim podano główne danie. Kopnęła Traya pod stołem w kostkę i usiłowała zmrozić go wzrokiem, on nadal jednak wpatrywał się w nią swymi dużymi, pełnymi zadumy oczyma. Nie wiedziała, jak powinna się zachować. Chyba nie gapił się na nią tak umyślnie, żeby

wprawić ją w zakłopotanie, taki jednak właśnie odnosiło to skutek.

Po kolacji, kiedy Kitt zaproponował, z wyraźnym ociąganiem się, żeby poszli tańczyć, Jenny z miejsca zaprotestowała. Odmówiła, zanim Tray miał szansę otworzyć usta. Jej decyzję Kitt przyjął z nie ukrywaną ulgą. Szybko się pożegnał i wraz z Eugenie Marie opuścili restaurację.

Jenny i Tray zostali sami.

- Niektórzy mężczyźni są zdumiewający - powiedziała Jenny.

Jej złotooki towarzysz siedział zamyślony nad filiżanką kawy.

- Tak, masz rację - odparł po chwili. - Nikt oprócz Kitta nie ośmieliłby się włożyć krawata w różowe flamingi.

- Kto mówi o Kitcie? - odrzekła zdziwiona Jenny. - Sam jesteś znacznie bardziej zdumiewający niż twój brat. Niezwykły z ciebie tchórz.

Nie sądziła, że odważy się to powiedzieć Trayowi. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że sama tak właśnie myśli. W normalnych warunkach miała bardzo dobrze działający instynkt samozachowawczy. Ale dziś?

Na twarz Jenny wystąpiły ogniste rumieńce. Tray wpatrywał się w nią badawczo. Odważnie wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie.

- Jestem zdumiewająco tchórzliwy? - powtórzył zwo-dniczo łagodnym tonem. - Bądź tak dobra i wyjaśnij mi, co masz na myśli.

Lekko frywolnym gestem wyemancypowanej kobiety Jenny wzruszyła ramionami. Zaraz jednak opuściła je, gdyż przypomniała sobie o braku biustonosza i wyzywająco sterczących sutkach.

- Co tu jest do wyjaśniania? Wiesz równie dobrze, jak ja. Wystraszyłam cię, Malone. Uczciwie się przyznaj. Prawda jest taka, że nie potrafisz obchodzić się z naprawdę wyzwolonymi kobietami.

- To najdziwaczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem.

- Ale to prawda. Popatrz na mnie. Zachowuję się naturalnie i spontanicznie. Do niczego się nie zobowiązuję i niczego nie przyrzekam. W przeciwieństwie do ciebie. Jestem przekonana, że nie zrobisz ani jednego kroku, dopóki nie rozważysz wszystkich za i przeciw oraz wszelkich możliwych następstw, a także jeśli nie przedyskutujesz sprawy ze swym adwokatem, księdzem i psychiatrą.

Przez cały czas Tray nie spuszczał wzroku z Jenny. Przymrużył tylko oczy.

- Nie chodzę do psychiatry - oznajmił.

- Nieważne. Mówiłam ogólnie, Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Energicznym ruchem Jenny podniosła się z krzesła. Tray schwycił ją za rękę i ścisnął nadgarstek.

- O nie, musisz zostać. Ta rozmowa dopiero teraz zaczyna robić się interesująca. Pogadamy o tobie. Co sądzisz o kobiecie, która oświadcza, że nie uznaje żadnych reguł konwencjonalnego stylu życia, a równocześnie nie potrafi chodzić bez biustonosza? Myślisz, że tego nie zauważyłem? Równie dobrze mogłabyś przyczepić sobie tabliczkę z napisem: „Mam na imię Jenny i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa nie włożyłam stanika. Nie patrzcie na moje piersi. Z góry dziękuję”.

Z wrażenia Jenny aż podskoczyła na krześle.

- Jak możesz tak mówić?! To obrzydliwe pomówienie!

- Och, to dopiero rozgrzewka. Dlaczego tak bardzo starasz się uchodzić za kogoś, kim nie jesteś? Już dawno temu nauczyłem się, że żyć lekkomyślnie to nie to samo, co żyć dobrze. Powiem ci coś jeszcze. - Tray nachylił się w stronę Jenny. Jego oczy wpatrywały się w nią uważnie.

- Największym i najbardziej cennym darem losu jest nie seks, lecz miłość. Zapamiętaj to sobie, Jenny.

- Ha, ha, powiedz to Graha...

Tray podniósł do góry szklankę do połowy napelnioną wodą.

- Jeśli jeszcze raz wymówisz przy mnie to imię, wyleję ci na głowę zawartość tej szklanki.

- Czy tak zachowuje się dojrzały mężczyzna? Gdybym nie wiedziała, jaki jest twój stosunek do mnie, mogłabym przypuszczać, że jesteś zazdrosny. W czym rzecz, Tray? O co ci chodzi? Czyżbyś stracił swoje przysłowiowe opanowanie? Zdaje mi się, że w twoich oczach dostrzegłam cień lekkomyślności?

Z rozmachem postawił szklankę na stole.

- Wypiłaś za dużo wina.

- A więc jesteś zazdrosny - triumfalnie oznajmiła Jenny. Była zachwycona, że udało się jej wreszcie sprowokować Traya. - Być może seks nie jest najważniejszy w życiu, ale nie wmówisz mi, że ci się nie podobało, kiedy;..

- Urwała. Zdała sobie sprawę z tego, że zapędziła się na niebezpieczne tory. - Jeszcze nie tak dawno temu nie wydawałeś się nieszczęśliwy - dodała lekko stłumionym głosem.

- Co ty wiesz! - mruknął Tray. Ogarnęło go uczucie obrzydzenia do samego siebie. Był jak doktor Jekyll i pan Hyde. Ta dziewczyna rozbudziła w nim instynkt opiekuńczy. Równocześnie jednak marzył o tym, aby zyskać nad

nią przewagę, by ją pokonać. Walczyły w nim często sprzeczne uczucia. Raz był podniecony, a raz zły, dobry i silny, a następnie podły i słaby. Czuł w sobie zarówno czystość, jak i lubieżność godną satyra. Pragnął zatracić się w tej kobiecie, a zarazem pomóc jej odnaleźć siebie, zanim zostanie skrzywdzona. Wszystkie te emocje miały Trayem niemal jednocześnie.

Spuścił wzrok. Przyglądał się teraz wzorowi na serwecie. Czuł się niepewnie.

Po chwili milczenia powiedział:

- Chciałem dać ci nauczkę. Lekcję pokazową. Żebyś zrozumiała, co może ci się przytrafić.

Na policzki Jenny wystąpiły rumieńce.

- Och, rozumiem, co masz na myśli. To było bardzo szlachetne. Czuła i gorąca scenka u ciebie w biurze była więc z twej strony tylko altruistycznym gestem?

- Nie - odparł cicho, podniósł wzrok i popatrzył na Jenny. - Zapragnąłem cię. W chwili w której weszłaś do baru. Pożądałem cię, kiedy znajdowaliśmy się w biurze, i pożadam cię teraz. Jest to naturalna reakcja mężczyzny na widok pięknej kobiety, mającej wspaniałe ciało i ubranej w suknię, która nie skrywa niczego. Ale ty musisz wydorosnąć i nauczyć się żyć, zanim napytasz sobie prawdziwej biedy. Jenny, to nie jest zabawa ani żaden pojedynek na żarty. Jestem człowiekiem omylnym, który popełnia błędy. Mogę krzywdzić innych i zostać skrzywdzony. Dokładnie to samo dotyczy ciebie.

Jenny poczuła Się dziwnie. Jak balon, z którego nagle uszło całe powietrze. Była zawstydzona. I bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej.

Na pierwszym interesującym mężczyźnie, którego spotkała, wypróbowała własną seksualną atrakcyjność. Wpra-

wdzie nie uczyniła tego świadomie, lecz tak właśnie postąpiła. Była przekonana, że zachowuje się jak wyemancypowana kobieta. W rzeczywistości miała inny zamiar. Usiłowała ocenić własną wartość oczyma mężczyzny. Sprawdzić, czy jest podniecająca fizycznie. Jej brak odwagi był widoczny na kilometr. W reakcji, którą miała na sobie, było widoczne niemal wszystko.

Podniosła się z krzesła. Nerwowym ruchem obciągnęła sukienkę. Piekły ją oczy. Bolało serce. Niemal fizycznie czuła, że jej piersi są wystawione na widok publiczny. Jak zakąski na tacy. Pogrążyła się w żalu nad własną osobą. Zważywszy wszystko, co przeszła, można uznać, że nie było w tym nic szczególnego.

Po chwili jednak zbuntowała się.

- Bardzo dziękuję za cenną lekcję - oświadczyła.-Nie chcę ci się już dłużej narzucać. Wrócę do mojego pokoju, jeśli pozwolisz.

Zaskoczony Tray przeciągnął palcami po włosach.

- Do licha, Jenny, ty zupełnie nie...

Podniósł się z krzesła.

- Och, nie wstawaj. - Jenny przyłożyła mu do piersi obie dłonie i lekko go popchnęła. - Siedź tu i nie przejmuj się mną. Pod stolikiem w barze zostawiłam torebkę. Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli ją stamtąd zabierzesz i przecho-
wasz dla mnie.

Tray popatrzył na Jenny. Zauważył dziwny wyraz jej oczu i ton zmieszania w głosie. Postąpił fatalnie. Wszystko zrobił nie tak, jak trzeba. Nic dziwnego, że po tym, co jej nagadał, była teraz bliska płaczu.

Powinien był wiedzieć, że nerwy Jenny są napięte do ostatnich granic i że tę właśnie dziewczynę łatwo zranić. Bez względu na to, jakie kierowały nim motywy, powinien

obchodzić się z nią łagodniej. Tray nie znosił ludzi którzy ranili innych. Był to chłopięcy, idealistyczny rys jego charakteru, którego nigdy nie ujawniał.

Zły na siebie, powiedział stanowczo:

- Jestem ci winien przeprosiny. Pozwól, że odniosę ci torebkę do pokoju i tam...

- Nie. Nie przychodź do mnie. Torebkę zabiorę, zanim... zanim wyjadę do...

Dokąd zamierzała jechać następnego ranka?

Nagle cała odwaga Jenny prysła jak mydlana bańka. Łzy napłynęły jej do oczu. Posmutniała. Z całej siły zagryzła wargi.

Tray nie mógł tego nie zauważyć. Jenny poczuła się upokorzona. Miała tylko nadzieję, że człowiek, który teraz znajdował się obok niej, wykaże takt i pozwoli odejść jej samej.

Pozwolił,

- Twoje zdrówko, Jenny-Lou. - Plastikowy kubek pełen rumu z coca-colą uniósł się w górę na cześć kobiety widocznej w lustrze- Nie udało ci się być ani dobrą, ani złą. Jesteś ni taka, ni siaka,

Wypiła do dna zawartość kubka, Wierzchem dłoni otarła wargi. Zazwyczaj nie przepadała za alkoholem, lecz rum, rozcieńczony brązowym płynem z bąbelkami, nawet nieźle smakował. Z przesadną ostrożnością odstawiła pusty kubek na stolik przy łóżku, gdzie znajdowała się już cała bateria otwartych buteleczek oraz puszek po wodzie sodowej i sokach.

Bar w pokoju hotelowym oferował wiele różnorodnych trunków. Przez prawie godzinę Jenny bawiła się w przygotowywanie przedziwnych koktajli Stworzyła

oryginalne i niezwykle kombinacje. Poważnie zastanawiała się nad podjęciem pracy barmanki. Była przekonana, że ma do tego talent.

Wydawało się jej, że telefonuje do matki. Słyszała własny głos.

- Mamo, będziesz ze mnie dumna. Twoja córka stanie się najlepszą pod słońcem, cholerną barmanką...

Jeszcze nigdy w życiu się nie upiła, nie licząc czasów, w których przypadkowo przedawkowała syrop od kaszlu. Prawdę powiedziawszy, topienie smutków w rumie było jedynym szaleństwem, jakiego nie popełniła w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin.

Usiadła na łóżku. Wiszące na przeciwległej ścianie lustro nad komodą odzwierciedlało ujęty w ramy portret Jenny Louise Rossi...

Była uczciwą dziewczyną. Ta cecha charakteru skłoniła ją do przyznania się, że w pijanym widzie nie wygląda szczególnie atrakcyjnie.

Siedziała po turecku. Nowa sukienka opinała jej uda i wyglądała jak pomarszczona skóra. Po powrocie z restauracji Jenny wylała trochę łez, tak że miała teraz zaczerwienione oczy. I okropnie potargane włosy.

Obserwując, jak pali się jej dom, była przekonana, że nic gorszego już jej w życiu nie spotka. Dziś była mądrzejsza. Wiedziała, że dopiero teraz znalazła się na dnie.

Przerażającą rzeczą było zdanie sobie sprawy z tego, że niedługo skończy się dwadzieścia cztery lata i nie wie, kim się właściwie jest, do czego dąży i czego się chce od życia.

Jenny zapragnęła nagle, żeby ukazała się jej dobrą wróżką, machnęła różdżką kilka razy i sprawiła, by wreszcie panna Rossi stała się kimś.

Kimś, to znaczy osobą, którą zaakceptowałyby jej matka i uznała za skarb, a nie za kamień u szyi.

Kimś, kto potrafiłby stać się równorzędną rywalką wygimnastykowanej striptizerki.

Kimś, kto dysponowałby środkami finansowymi wystarczającymi na przyzwoite życie.

Kobietą, która potrafi spowodować, aby mężczyzna ją podziwiał i pragnął jej całą duszą i sercem.

Jenny zaczęła się histerycznie śmiać.

- Co za tekst! Jestem poetką i wcale o tym nie wiedziałam - powiedziała głośno do siebie.

Życie może być bardzo zabawne.

Nie. Życie jest okrutne...

Język Jenny zrobił się sztywny i drętwy. Spuchnięty. Z trudem mieścił się w ustach,

Jej ramiona opadły nagle. Pokój znów zaczął tonąć we mgle. Jenny należała do tych nieszczęsnych ludzi, którzy nigdy nie otrzymują od życia niczego dobrego. Tó było smutne, bardzo smutne. Czowała się nieszczęśliwa i wykończona. Była nie tylko nieatrakcyjną, lecz także zalaną w trupa kobietą, A więc niczego nie potrafiła zrobić przyzwoicie. Nawet się upić.

- Zapraszam w każdej chwili, dobra wróżko - mamrotała Jenny niewyraźnie. Nieprzytomnym wzrokiem omiotła ściany pokoju, sufit i drzwi balkonowe. - Tak, proszę pani. W każdej chwili, w jakiej zechce pani się pokazać. Jeśli pani uzna, że stary Kopciuszek wymaga pomocy, proszę się nie krępować, W każdej chwili, gdy tylko zechce pani wstąpić...

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Jenny zamrugła oczyma. Kołyszając się niepewnie, roześmiała się głośno. To się nazywa dobra służba hotelo-

wa. Błyskawicznie przynieśli jej zamówioną pizzę. Jest to z pewnością hotel bardzo wysokiej klasy. Pięciogwiazdkowy.

Jenny z trudem wygrzebała się z łóżka. Idąc boso w stronę drzwi po miękkim dywanie, poprawiała na sobie pogniecioną sukienkę. Musiała przecież wyglądać przyzwoicie.

Drżącymi palcami przeciągnęła po zmierzwionych włosach. Przechodząc obok komody, schwyciła leżącą na niej kredkę do warg i szybko umalowała usta. Podejrzewała, że to nie dobra wróżka stoi pod drzwiami. Mimo to jednak chciała prezentować się przyzwoicie.

W drzwiach ukazał się Kitt. Miał włosy opadające luźno na ramiona, nie związane, jak poprzednio, w koński ogon. Jego piękny krawat z flamingami gdzieś się zapodział. Ze spodni wystawały poły pogniezionej koszuli. Wyglądał na prawie tak zrelaksowanego jak Jenny. Był jednak o niebo od niej weselszy. I atrakcyjniejszy.

- Właśnie widziałem Traya; Na dole, w barze - oznajmił. - Braciszek miał w ręku damską torebkę. Wyglądał z nią jak prawdziwy idiota.

Kitt wszedł do pokoju. Pogwizdywał jakąś wesołą melodię.

- Zechcesz wejść? - zapytała machinalnie Jenny, mimo że Kitt był już w środku. Zamknęła drzwi i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu, miejsca, w którym mogłaby położyć trzymaną w ręku kredkę do warg. Tylko ona jedna wiedziała, jak trudne było to zadanie.

- Jenny-Lou, musimy pogadać. - Kitt przeszedł obok kanapy stojącej w małej alkwie służącej za salonik, usadowił się wygodnie na jednym końcu łóżka, odchylił w tył

i oparł na łokciach. - Mam pomysł, który na pierwszy rzut oka może wydać ci się trochę dziwaczny.

Wyrzucić tę szminkę do kosza na śmieci? Przez cały czas Jenny usiłowała rozwiązać swój problem. Nie. Dopiero co kupiła tę pomadkę. Miała bardzo dobry odcień. Nie wyrzuci jej do kosza. Ale co z nią zrobić? Co zrobić?

- Wstrzymaj się z uwagami, aż skończę. Nie rzucaj we mnie niczym ciężkim ani nie dzwoń po pogotowie czy coś w tym rodzaju. Mimo powszechnie panującej o mnie opinii, nie jestem człowiekiem narwanym. Bywam niedyscyplinowany, ale potrafię zrozumieć potrzeby innych ludzi. Przyszedłem tu do ciebie w jak najlepszej wierze. To, co ci powiem, leży zarówno w twoim interesie, jak i w moim. I Traherne'a, choć ten nigdy by w to nie uwierzył.

Wzrok Jenny błędził po ścianach pokoju. Zatrzymał się na plastikowej obudowie. Mieściły się w niej regulatory klimatyzacji. Ostrożnie umieściła szminkę na wierzchu pudełka i odetchnęła z ulgą. Było to z jej strony wielkie osiągnięcie.

- Słuchasz mnie, Jenny? Dlaczego tam stanęłaś? - Kitt klepnął miejsce obok siebie. - Chodź tu. Siadaj i mnie wysłuchaj.

Dopiero teraz słowa Kitta zaczęły docierać do Jenny. Uznała za świetny pomysł zajęcie miejsca na łóżku, ale miała poważne wątpliwości, czy uda się jej dotrzeć aż tak daleko.

Nagle poczuła się dziwnie. Bardzo dziwnie. Wydawało się jej, że ma głowę jak balon. Zobaczyła na łóżku dwóch Kittów Malone'ow. Dla niej tam miejsca nie było.

Z największym wysiłkiem zrobiła dwa duże, chwiejne

kroki i dotarła do kanapy. Usiadła. Z całej siły zaczęła ścisnąć poręcz. Wokół niej wszystko zaczęło nagle wirować. Podłoga i ściany. Dał znać o sobie żołądek. Wiedziała, że wcześniej czy później zwymiotuje.

- Skup się - powiedział Kitt. - Mówię teraz poważnie, a to zdarza się rzadko. Jenny? - Pstryknął głośno palcami w powietrzu. - Jenny-Lpu, czy ty mnie słuchasz?

Wzrok Jenny zatrzymał się na koszu na śmieci. Zapragnęła, żeby znajdował się bliżej.

- Nie jestem całkowitym durniem - oświadczył Kitt takim tonem, jakby ten temat walczyli przez cały wieczór. - Gdybym nie pozwolił Traherne'owi ciągle się mnie czepiać, a jednocześnie dawać mi pieniądze i traktować jak niedojrzałego imbecyla, jest bardzo prawdopodobne, że wziąłbym się w garść. No, na pewno nie podjąłbym żadnej stałej pracy na pełnym etacie i nie stałbym się uczciwym podatnikiem, ale znalazłbym sobie jakąś sensowną przystań życiową. Traheme chce, żebym był człowiekiem z ambicjami. Po co mi ambicje? Skoro wiem, że zawsze wyciągnie mnie z każdej opresji, nie muszę się o nic starać. I czy on rzeczywiście uważa, że lubię, kiedy mnie się z nim porównuje? Z najlepiej ubranym mężczyzną w Phoenix? I ja mam uczucia, które można zranić. Może się ludziom wydawać, że nic mnie nie obchodzi, lecz w rzeczywistości...

- Skróć nieco swój wywód - odezwała się Jenny, przerywając Kittowi.

Rozejrzała się wokół. Uznała, że drzwi do łazienki są tak samo daleko, jak kosz na śmieci. Może uda się jej dobiec do tego pomieszczenia. Wymiotowanie w obecności innych ludzi nie należy do przyjemności. Zwłaszcza w obecności przystojnych mężczyzn...

- Masz rację. Trochę odszedłem od tematu. Poczekaj, pomyślę, jakby ci to powiedzieć.

Jednym zwinnym ruchem Kitt podniósł się z łóżka. Jasne, długie włosy zafalowały mu wokół twarzy. Zaczął chodzić po pokoju. Poruszał przy tym seksownie pośladkami. Identycznie jak robił to Tray, co tak bardzo podobało się Jenny. Był to typowy rytm Malone'ow.

Gdyby ktoś kazał braciom chodzić na wysokich obcasach, dopiero by się okazało, ile mają gracji, pomyślała ponuro Jenny.

Nagle Kitt odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Na tle szklanych drzwi jego włosy osrebrzone księżycowym światłem wyglądały niesamowicie.

- Nie będę niczego owijał w bawełnę. Powiem ci wprost. Uznałem za celowe, abyśmy oboje, to znaczy ty i ja, mieli ze sobą romans. A właściwie udawali, że się kochamy.

- Co takiego?

Kitt plecie bzdury, uznała Jenny. Gada od rzeczy. Co takiego powiedział? Jaki romans? O co mu chodziło?

Przestał spacerować po pokoju. Staął. Popatrzył uważnie na Jenny. Potem równie uważnie rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok przyciągnęła bateria buteleczek i puszek na stoliku przy łóżku.

- Och, do diabła, powinienem przewidzieć, że zrobisz coś takiego. Dobraś się do barku! Mam rację? Wyglądasz kiepsko. Jesteś zielona. Zwymiotujesz?

- Tak.

Skrzywił się.

- Kiedy?

- Teraz! - Jenny rzuciła się w stronę łazienki. Potknęła się o matę i upadła na kolana, ale na szczęście znalazła się w środku. Żałowała, że nie zdążyła zamknąć za sobą

drzwi, gdyż dźwięki, jakie z siebie wydawała, nie mogły być przyjemne dla niczyjego ucha.

Gdzieś w trakcie wymiotowania Jenny poczuła na włosach dłońe Kitta. Podtrzymał jej głowę, kiedy opróżniała żołądek. Była mu wdzięczna za pomoc.

Gdy było po wszystkim, pomógł jej podnieść się i wytrzeć twarz mokrym ręcznikiem.

- Najgorsze masz już za sobą - stwierdził tonem człowieka doświadczonego. - Możesz chodzić?

- Nie chcę - wymamrotała Jenny. Była słaba jak nowo narodzone dziecko. Drżała na całym ciele. - Ja... znajdę tu sobie jakiś wygodny kącik i... i umrę,

- Możesz mi wierzyć, umieranie w łazience nie jest dobrym pomysłem. Obejmij mnie za szyję.

Jenny nie miała siły protestować ani wykonać tego, o co prosił ją Kitt.

Wziął ją na rękę, zaniósł do pokoju i położył na łóżku.

Natychmiast zwinęła się w kłębek. Objęła poduszkę. Czowała się okropnie.

- Tylko nie mów o tym nikomu - poprosiła Kitta.

- Nikomu, to znaczy Trayowi. - Kitt wyjął z szafy satynową kołdrę i okrył nią Jenny. Usiadł na krawędzi łóżka.

- Kochanie, dobrze się czujesz?

- Tak - odrzekła drżącym głosem. - Nie mam już siły, żeby jeszcze dziś robić dalsze głupstwa.

- Trzymaj się, dziewczyno. Jutro będzie lepiej. - Kitt uśmiechnął się, poklepał ramię Jenny okryte cienką kołdrą.

- Nie jest w moim stylu zniechęcać ludzi do szaleństw, ale w stosunku do ciebie zrobię wyjątek. Być może nie jesteś zwierzęciem szukającym za wszelką cenę rozrywki. Weź to pod uwagę.

- Jak możesz tak mówić? Zrobiłam ci coś złego?

- Złotko, wcale cię nie krytykuję. Sądzę jednak, że swoje zalety powinnaś wykorzystać inaczej.

- Nie mam żadnych zalet.

- Jesteś przyzwoitym i dobrym stworzeniem.

Jenny otworzyła jedno oko. To, które nie było przykryte, poduszką.

- Głupie gadanie.

- Posłuchaj. Zdradzę ci pewien sekret. Ludzie twojego pokroju - aż trudno uwierzyć, że to mówię - i mego brata, a więc prostolinijni i szczerzy, którzy troszczą się o innych, nie tylko o samych siebie, są ludźmi wyjątkowymi. To dobrzy ludzie. Gatunek wymierający. W obecnych czasach należą do rzadkości. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

Jenny ziewnęła.

- Kitt, nie jestem wyjątkowa. I nigdy taka nie byłam.

Popatrzył na nią. Z alabastrową cerą, z chmurą ciemnych włosów rozrzuconych na śnieżnobiałej poduszce i piąstką przyciśniętą do policzka wyglądała dziecinnie i bardzo niewinnie. Przez dłuższą chwilę Kitt nie odrywał wzroku od Jenny.

- A jednak jesteś - powiedział miękkiem głosem.

- Och, jestem prawdziwym skarbem. Klejnotem. - Jenny westchnęła głośno. - A czy ci w ogóle mówiłam o moim narzeczonym? Miałam go. To się skończyło kilka miesięcy temu. Miał na imię... Jak on właściwie miał na imię? Och, jasne. Graham. A więc miał na imię Graham. On wcale nie uważał, że jestem wyjątkowa. Wystawił mnie do wiatru. I wiesz, co ci powiem? Dostałam nauczkę. Tak, proszę pana. Teraz moja kolej próbować coś zdobyć w życiu. Poszaleć. Nikt mi potem nie zarzuci, że nie próbowałam...

Zdesperowany Kitt wznosił oczy ku niebu.

- Złotko, to brzmi jak słowa piosenki.

- Ale twój brat... twój brat nie chce ze mną... współpracować. On się mnie boi. Dlaczego? Co złego w tym, żeby trochę się zabawić? Poczuć się dobrze? - Jenny wsunęła twarz w poduszkę i wymamrotała: - Jezu, czuję się paskudnie. To wszystko wina Traya. Zranił moje uczucia.

- Jenny, działasz na mnie fatalnie.- jęknął Kitt. Był rozbawiony, a zarazem, lekko zirytowany. - Cały czas chodzi ci o Traya. A ja to co? Pies? Ani razu na mnie nawet nie spojrziałaś. Zawsze słyszałem, że dobre dziewczyny usiłują sprowadzić złych chłopców na drogę cnoty. A ty?

- Och, nie. - Głos Jenny był coraz bardziej senny.

- Nie chcę nikogo nawracać. Czemu miałabym to robić? Byłam dobrą dziewczyną i to doprowadziło mnie do nikąd.

Przed oczyma Kitta stanął wszechpotężny właściciel White Mesa. Znajdował się w holu, trzymał w ręku damską torebkę i rzucał mordercze spojrzenia każdemu, kto ośmielił się zatrzymać na nim dłużej wzrok. Na ogorzałej od słońca przystojnej twarzy Kitta ukazał się ponury uśmiech.

- Doprowadziło cię to, dziecino, do Phoenix. Matka Natura i Kitt Malone zadbają o resztę. Śpij, Jenny. O strategii pogadamy jutro.

- Jadę do domu - oznajmiła. - Z powrotem do Toluca. Dopiero wtedy będzie żałował. - Po chwili przerwy ciągnęła dalej: - Kitt, coś mi się zdaje, że mówiłeś o romansie.- Aha, nawet pamiętam. Ze mną.

- Tak. To byłoby niezłe rozwiązanie. Dla nas wszystkich. Okazuje się, że jestem prawdziwym geniuszem - dodał z uśmiechem na twarzy.

- A ja jestem nieprzytomna. Zupełnie zwariowałam. Majaczę. Powinam wracać do domu, zanim spotka mnie coś złego. Może Dorothy miała rację.

- Dorothy?

- Nie ma jak w domu...

- Jesteś rzeczywiście pijana - przyznał Kitt. - Jutro poczujesz się lepiej. Prawdę powiedziawszy, rano poczujesz się koszmarnie... Ale zapomnij o wracaniu do domu. Tego mój plan nie przewiduje.

- Dokąd pojedę?

- Na razie pójdiesz spać.

Jenny uznała to za dobry pomysł. Trzydzieści sekund później spała głębokim snem.

- Czekam na twoje wyjaśnienia. Co tu robisz?

Tray przyciskał do boku damską torebkę. Stał na korytarzu przed otwartymi drzwiami do pokoju Jenny, na wprost swego brata, który znajdował się w środku. Źle się działo w państwie duńskim.

Kitt przyłożył palec do ust.

- Mów cicho. Przed chwilą zasnęła.

- Powiniem dać ci w zęby? - spytał rzeczowo Tray.

Kitt zaprzeczył ruchem głowy. W jego oczach można było dostrzec rozbawienie.

- Jakże łatwo cię przejrzeć, bracie. Nie zrobiłem niczego, co by usprawiedliwiało złamany nos. Jeśli jednak masz przemożną ochotę zdzielić mnie przez głowę... Bardzo proszę, możesz się nie krępować.

Tray wszedł do pokoju. Upuścił na podłogę torebkę Jenny. We wnętrzu panował półmrok. Jedyne światło pochodziło z małej lampki znajdującej się pod sufitem w pobliżu przeszklonych drzwi.

Ledwie dostrzegł zarys drobnej postaci leżącej pod kołdrą na łóżku. Czarne włosy rozrzucone na poduszce kontrastowały z bielą pościeli.

Tray odwrócił się i stanął na wprost Kitta. Czuł, jak krew uderza mu do głowy. Miotają nim różne emocje. Wściekłość. Obawa. I niechęć w stosunku do brata.

- Gadaj - warknął groźnie.

- Nie jesteś właścicielem tej dziewczyny - szepnęła Kitt takim tonem, jakby zdradzał bratu sekret wagi państwowej. Zamknął ostrożnie drzwi, obrócił się twarzą do środka wnętrza i przemaszerował cicho przez cały pokój. Zatrzymał się przy małej lodówce w barku. Wyciągnął torebkę orzeszków, rozdarł celofan zębami i całą zawartość wsypał sobie do ust. - I nie myśl, że zdołasz mi przyłożyć - wymamrotał niewyraźnie, kiwając przy tym ostrzegawczo palcem. - W miłości każdy chwyt jest dozwolony. Gdybym nawet wśliznął się tutaj w niecznych zamiarach, nie mógłbyś mieć o to do mnie żadnej pretensji.

- Zaraz spotka cię niemiłe rozczarowanie - oznajmił Tray. Jego spojrzenie przesuwano się teraz po baterii butelek i puszek ustawionych na nocnym stoliku. - Postanowiłem ci przyłożyć. I to porządnie.

Kitt skrzywił się. Zmiał w kulkę pustą torebkę po orzeszkach i cisnął ją do kosza na śmieci.

- Dlaczego zawsze podejrzewasz mnie o najgorsze? Jeśli dasz mi trochę czasu, wszystko ci wytłumaczę. Jenny miała fatalny nastrój, wpadła w depresję, więc postanowiła urządzić sobie przyjęcie i zalać robaka. Stało się to jeszcze przed moim przyjściem. Zjawiłem się w porę, żeby nad sedesem potrzytać jej głowę.,

- Och, do diabła! Wymiotowała?

- Jeszcze jak! Nie nawykła do światowego życia, na

które ma tak wielką ochotę. - Kitt zamilkł na chwilę. Z uniesioną brwią popatrzył na brata. - A ty, Traherne, czemu wyglądasz jak winowajca? Coś mi się zdaje, że próbowałeś ją pohamować. Mam rację?

Tray. usiadł w nogach łóżka Jenny. Machinalnie naciągnął koldrę na drobną, obnażoną stopę dziewczyny. Całą siłą woli musiał wziąć się w garść, żeby mówić spokojnie.

- Kitt, trzymaj się z daleka od Jenny. Sam nie wiesz, o czym gadasz. Nigdy w życiu nie troszczyłeś się o nikogo, oprócz samego siebie.

Kitt skrzyżował ramiona. Błyszczącymi oczyma popatrzył na brata.

- Oto człowiek honoru. Prawdziwy bohater. Zawsze próbujący uzdrawiać i chronić cały ten cholerny świat. Tyle poświęcenia powinna wykazać Joanna d'Arc. Lubiłbym cię znacznie bardziej, gdybyś coś schrzanił od czasu do czasu. Na przykład rozlał alkohol na jedną z tych twoich sprowadzonych z Europy wytwornych koszul. Czy popełnił oszustwo podatkowe.

- Kitt...

- Och, do licha, podejdź bliżej i uderz mnie, jeśli ma to sprawić, że poczujesz się lepiej. Na litość boską, zrób wreszcie coś głupiego. Zachowuj się jak inni ludzie na tej pieskiej planecie.

- Zadbaj o swoją skórę i opuść natychmiast ten pokój - lodowatym tonem powiedział Tray.

Wargi Kitta wykrzywiły się w uśmiechu.

- Czy wiesz, że od śmierci taty, a więc od wielu lat, ciągle zamierzałem zadać ci jedno pytanie? Kto mianował cię obrońcą uciśnionych matek, braci i w ogóle całej ludzkości? Kto dał ci do tego prawo?

Szybkim ruchem Tray podniósł się z łóżka. Podbiegł do Kitta, schwycił go za koszulę i zaczął nim potrząsać.

- Zamknij się wreszcie - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Dzisiejszego wieczoru przeżyłem już wystarczająco dużo. Nie prowokuj mnie, bo zrobię coś, czego będę potem gorzko żałował.

- Nie daj Boże. Nigdy nie znałem nikogo, kto by po fakcie czegoś nie żałował. Dlaczego uważasz się za człowieka wyjątkowego? Jakim prawem sądzisz, że jesteś inny niż wszyscy? Istoty ludzkie popełniają błędy. Jest mi niezmiernie przykro, że to ja muszę odkryć ci tę gorzką prawdę, Tray, iż ty także jesteś istotą ludzką. Człowiekiem.

Nieco rozbudzona głośną wymianą zdań odbywającą się pomiędzy braćmi, Jenny poruszyła się i wymamrotała coś w półśnie. Jak na komendę Tray i Kitt nagle zamilkli. Obserwowali leżącą i czekali. Kiedy znów zasnęła na dobre, Tray puścił Kitta. Głosem, nad którym nie w pełni panował, oznajmił:

- Poniosło mnie. Jest mi przykro.

W oczach Kitta nie było teraz ani śladu rozbawienia.

- A mnie nie - powiedział. Odwrócił się w stronę drzwi, wygładzając wymiętą koszulę. - Ale może jeszcze będą z ciebie ludzie. Jest cień nadziei.

Tej nocy Jenny przebudziła się tylko raz, na krótko, gdzieś przed samym świtem.

Przetarła oczy i wysiliła biedny, skołowany mózg, żeby sobie przypomnieć, kim była, gdzie się znajdowała, dlaczego miała język jak kołek i przepołowioną czaszkę. Było jej gorąco. Spocona[^] usiłowała zrzucić z siebie kołdrę, lecz to się nie udawało.

Dopiero po kilku minutach uzmysłowiła sobie, że Kitt

nadal znajduje się w pokoju. Siedział obok niej, oparty o wezglowie łóżka. Spał. Na tle granatowego nieba jego profil był ledwie widoczny. Miał lekko rozchylone wargi i podbródek opuszczony na pierś. Koszula rozpięta niemal do pasa odsłaniała ciemny, połyskliwy tors. Pochrapował.

Dłonią zwiniętą w pięść Jenny stuknęła go w ramię.

- Co ty tu robisz? - zapytała schrypniętym od snu głosem. - Nie musiałeś zostawać ze mną. Kitt, wracaj do swego pokoju i prześpij się trochę,

- Nigdzie nie pójdę - wymamrotał nieprzytomnie.

Co za uparty człowiek, pomyślała Jenny, Zamknęła ciężkie jak ołów powieki i znów odplynęła w zaświaty.

Spała przez parę sekund lub kilka minut. W głowie jej coś dudniło, lecz nagle uprzytomniła sobie, że to nie Kitt siedzi na jej łóżku.

Głos Traya był głębszy niż brata i bardziej stanowczy. Po tym go rozpoznała.

W pewnym momencie podczas tej długiej nocy obaj bracia zamienili się rolami.

Ciepło bijące od ciała Traya ogrzewało teraz ramię Jenny. Czowała zapach płynu po goleniu.

Otworzyła powoli oczy. Wpatrywała się w zarys podbródka Traya. Czowała się dziwnie. Zupełnie inaczej niż przy Kitcie. To była niebezpieczna i podniecająca sytuacja. Serce Jenny zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

Chrząknęła głośno. Raz, drugi i trzeci. Wreszcie Tray mruknął coś pod nosem i uchylił ciężkie od snu powieki.

- Ciii. -. Dał Jenny lekkiego prztyczka w nos. - Nie widzisz, że śpię?

- Dlaczego nie leżysz we własnym łóżku?

- Leżę. - Skrzyżował ręce na piersiach i znów zamknął

oczy. - Pamiętasz, że jestem właścicielem tego hotelu? To są moje pokoje. Wszystkie, co do jednego.

- Kiedy zasypiałam, Kitt...

- Zastąpiłem go w roli twojej niańki - stwierdził sucho Tray.

Jenny usiłowała się podnieść, lecz to się jej nie udało. Była szczerze owinięta kołdrą i bolała ją głowa.

- Niepotrzebna mi niańka - warknęła. Kopiąc nogami, próbowała pozbyć się kołdry. - Potrafię o siebie zadbać.

- Powinnaś to sobie nagrać na taśmę.

Jenny zorientowała się, że ramiączka sukienki, w której spała, zsunęły się nisko, odsłaniając w ten sposób prawie cały biust. Opadła na poduszkę i okryła się szczerze kołdrą. Wszystko wokół zaczęło nagle wirować. Jenny zrobiło się niedobrze. Zacisnęła mocno powieki.

- Czuję się kiepsko - powiedziała do Traya. - Lepiej sobie idź, póki nie jest za późno.

Odwrócił głowę w jej stronę. Uśmiechnął się lekko.

- Biedna Jenny. Czy to ostrzeżenie z twojej strony? Spod rąbka kołdry popatrzyły na niego smutne, zaczerwienione oczy.

- Tak. Dowiedziałam się czegoś o sobie. Jestem zwyczajną pijaczką..

Tray usiłował ukryć rozbawienie.

- Nie jest aż tak źle.

- Jest. Jest. Och, Boże, zaraz znów będę wymiotowała.

- Nie, nie będziesz. Posłuchaj uważnie. Zamknij oczy i nabierz do płuc dużo powietrza. Oddychaj równo. Powoli.

Zasłuchana w spokojny głos Traya i czując dotyk jego dłoni odgarniającej włosy z jej czoła, Jenny poczuła się lepiej. Jego rady odniosły pożądaną skuteczną. W brzuchu

Jenny parę razy groźnie zaburczało i na tym, na szczęście, się skończyło.

- Może jakoś to przeżyję - mruknęła z niechęcią.
- Dlaczego mówisz to z takim smutkiem w głosie?
- Jestem przekonana, że ty nigdy się nie upiłeś.
- Nigdy. Od czasów szkoły średniej.

Jasne. Powinna Cię tego domyślać.

- Malone - warknęła - masz na mnie bardzo zły wpływ. Nie ulegasz żadnym pokusom. Jesteś poważny. Odpowiedzialny. Dojrzały. W pełni godzien zaufania. Uciekaj stąd szybko i nie męcz mnie dłużej.

Poważny. Odpowiedzialny. Dojrzały. W pełni godzien zaufania. Tray zastanawiał się, co rzekłaby Jenny, gdyby wiedziała, co dzieje się z jego ciałem; Był w stanie zachowywać się podobnie idiotycznie jak każdy normalny mężczyzna. Zaczynały go już drażnić wszystkie superlatywy, którymi obdarzało go całe otoczenie. To, że miał duże poczucie odpowiedzialności, wcale nie oznaczało, że musi być do cna nudnym i drętwym facetem. Mógł się zabawić, gdyby przyszła mu na to ochota.

Czy naprawdę?

Tray odwrócił głowę i popatrzył na Jenny.

Miała zamknięte oczy. Zagryzała dolną wargę, tak jakby koncentrowała się na rozluźnieniu całego ciała. Przy każdym Oddechu rąbek kołdry połyskiwał w świetle wczesnego poranka, wpadającym do pokoju przez szparę między zasłonami.

Traya coś ciągnęło do leżącej obok dziewczyny.

- Jenny?

Otworzyła jedno oko i spojrzała na niego.

- Co?

- Zbyt mi nie ufaj.

Teraz spojrzenie pary szeroko rozwartych oczu utkwiło w twarzy Traya. W nikłym brzasku poranka były widoczne jego lekko zwichrzone włosy i zarys podbródka. Połyskiwały mięśnie odsłoniętego torsu.

Jenny chwilowo odrzuciła myśl o sobie jako o kobiecie niezależnej. Pozwoliła, aby jej myśli krążyły leniwie wokół spoczywającego obok mężczyzny. Sennym spojrzeniem ogarnęła jego ciało. Potem wzrok Jenny powędrował w górę, do twarzy Traya. Zobaczyła cień zarostu na brodzie i policzkach. Uprzytomniła sobie, że ma piękne złote oczy. I ponętne, zmysłowe usta... Tray nieznacznie, się poruszył. Wsunął zgiętą rękę pod kark i spod przymkniętych powiek popatrzył na Jenny.

- Słuchasz, co do ciebie mówię?

Jego szorstki głos przerwał nagle jej rozmyślania. Odczuła to jak uderzenie w twarz.

- Nie wiem, o czym mówisz - bąknęła. Poczowała się speszona. Znow zaczęła walczyć z kołdrą kłępującą jej nogi. - Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś sobie poszedł. Kiedy wstanę, będę wyglądała jeszcze gorzej, niż się czuję. Chcę zostać sama.

- Oto przykre skutki beztroskiego życia.

Jednym zwinnym ruchem Tray zsunął nogi z łóżka. Siadając tyłem do Jenny, zapinał koszulę. Nie potrafił ocenić, jak blisko był utraty panowania nad swym ciałem. Jeszcze jedno spojrzenie na tę dziewczynę i być może przestałby z sobą walczyć. Następne spojrzenie i być może przestałby odróżniać dobre od złego.

- Tray.

Głos Jenny brzmiał miękko. Był ledwie słyszalny. Wsunął poły koszuli za pasek spodni.

- Słucham.

- Przepraszam - powiedziała. - Zupełnie nie rozumiem, czemu się mną przejmujesz... Dbasz o wszystko...

W pokoju zapanowała cisza.

- Dbam. Śpij, Jenny.

- Naprawdę jest mi przykro...

- Na drzwiach twego pokoju powieszę tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Kiedy się obudzisz, zadzwoń do recepcji. Odszukają mnie na terenie hotelu.

Mówi. Dużo mówi, pomyślała rozespana Jenny. Słowa Traya nie miały większego znaczenia. Przez jej głowę zaczęły przebiegać różne myśli. Czy zostawiła na patelni rozgrzany olej? Przecież nie chciała spalić całego domu.

Jej serce biło równo, kiedy zasypiała.

- Wczoraj wyszedłeś bez wyjaśnienia - z ponurą miną oznajmił Tray. - Chcę wiedzieć, co robiłeś w pokoju Jenny.

Kitt uśmiechnął się promiennie do brata, nie zważając na jego zły nastrój. Jedli we dwójkę śniadanie na krytym patio w pobliżu basenu. Było to spotkanie o dość nietypowej porze.

O siódmej Tray zapukał do drzwi pokoju Kitta i dał mu dziesięć minut na umycie się i ubranie. Swoim zwyczajem Kitt zaproponował bratu, żeby poszedł do diabła. W odpowiedzi na to Tray wepchnął go pod lodowaty prysznic.

Trzydzieści minut później Kitt miał włosy ociekające wodą i sine wargi, lecz był w pełni przytomny.

- Tray, jesteś nieznośny - stwierdził, przechylając się na bok i wyzymając wodę ze swojego końskiego ogona.

- Nie mogę uwierzyć, że tak mnie dziś załatwiłeś i to z powodu zazdrości. Powinieneś mieć więcej ambicji.

- Idź do diabła - zacytował brata Tray. - Ale zanim to zrobisz, wytłumacz, co się stało. Wczoraj wieczorem, kiedy

wychodziłeś z restauracji, byłeś w towarzystwie Eugenie Marie. Byłem przekonany, że się nią zajmiesz. Czyżby miała zbyt duże wymagania?

Kitt westchnął głośno.

- Poinformowała mnie, że jest mężatką. Jej małżonek jest profesjonalnym instruktorem od gimnastyki. Siłaczem. Na olimpiadzie w roku 1992 zdobył pierwsze miejsce jako lekkoatleta. Sam rozumiesz, że te wiadomości musiały podziałać na mnie deprymująco.

- Do licha, Kitt, jeśli poszedłeś do pokoju Jenny, żeby znaleźć tam następną ofiarę...

- Nie masz dla mnie, bracie, ani krzty szacunku. - Kitt nadział na widelec plasterek szynki i włożył go do ust. - Twoje podejrzenia bardzo mnie zraniły. Aż sam się dziwię, że w ogóle mogę teraz jeść. Aha, przy okazji, czy wypisałeś czek? Jasne, że tak. Niepotrzebnie pytam. Zawsze o wszystko się troszczysz. Jesteś świętym człowiekiem.

- Słuchaj mnie, Kitt. Bardzo uważnie. - Z każdym wypowiedzianym słowem głos Trayą przybierał na sile. - Jestem zmęczony. Mam dziś ważne spotkanie z przedstawicielami banku w sprawie finansów całej sieci hoteli, a nie jestem jeszcze na nie przygotowany. Nawet się nie ogoliłem. Boli mnie głowa. Jestem w złym nastroju. I mam po dziurki w nosie twojego kretyńskiego zachowania się!

- Nie oszczędzaj mych uczuć - mruknął Kitt. - Wal prosto z mostu i powiedz, co o mnie myślisz.

- Daję ci pięć sekund, zanim rozkwaszę ci nos. Rozumiesz? Cztery...

- Wyluzuj się, Traherne. - Kitt zamilkł i zamyślił się na chwilę. - Jakie właściwie było twoje pytanie? Zgubiłem wątek, gdy zacząłeś mi grozić.

Surowym wzrokiem Tray popatrzył na lekkomyślnego brata. Zaciśnął pięści i liczył dalej:

- Trzy... Dwa...

- Mój nos bardzo mi się podoba - oznajmił Kitt. - Trzymaj się od niego z daleka. Powtarzam, ostatniej nocy między mną a Jenny naprawdę nic nie zaszło. Absolutnie nic. Przeżyliśmy oboje intymne chwile w łazience nad sedesem i na tym koniec. To biedne dziecko nie było w stanie wykazać zainteresowania się moją osobą.

- Kazałem ci trzymać się od niej z daleka - warknął Tray.

Kitt wzruszył ramionami.

- Dotychczas nigdy nie słuchałem twoich rad ani poleceń, dlaczego miałbym zacząć robić to dzisiaj? A ponadto rozmyślałem trochę o całej tej sprawie. Wygląda na to, że nasza mała Jenny-Lou pragnie zakosztować życia, a ja mogę zaofiarować jej swą pomoc. Fachową, bo opartą na wieloletnim bogatym doświadczeniu - dodał nieskromnie.

- Obaj wiemy, bracie, że jeśli chodzi o światowe, wesołe życie, to jestem znacznie lepszy od ciebie.

Tray zamknął oczy. Poczul się nagle bardzo stary. O tysiące lat świetlnych starszy od swego nieodpowiedzialnego, infantylnego brata. Żółtodzioba z mlekiem pod nosem.

Czy to w ogóle możliwe, że urodzili się w odstępie tylko dziewięciu minut? Trayowi wydawało się, że dzielą ich nie minuty, lecz lata. Dziewięć lat. Atmosfera panująca między braćmi była teraz napięta do ostatnich granic. Wydawać by się mogło, że wszystko wokół wstrzymało oddech i czeka, aż Tray wreszcie wybuchnie. Eksplozja będzie tak potężna, że przekroczy skalę Richtera. Stanie się wynikiem skumulowanych napięć, nagromadzonych przez całe lata, z każdą chwilą coraz bardziej ogarniających jego umysł i serce.

Do wybuchu jednak nie doszło. Tray zdołał się powstrzymać. Nie wiedział, dlaczego tak się stało, mimo że w tej właśnie chwili niczego bardziej nie pragnął niż ryknąć na brata, dać mu do wiwatu, a potem ciskać ogrodowymi meblami, wyć jak oszalała hiena i wystraszyć gości jedzących posiłek na patio.

Kiedy spojrzął znów na Kitta, na jego twarzy malowały się jeszcze gwałtowne emocje.

- A więc chcesz wystąpić w roli anioła stróża? - zapytał. - Ciągłe mnie zadziwiasz.

- Daj mi trochę czasu, powiedzmy: ze dwa dni, a ja ci zagwarantuję, że zadziwię także Jenny. Czy opowiadała ci o swoim byłym narzeczonym, który ją opuścił? Odrącone kobiety są zawsze wdzięczne innemu mężczyźnie za okazanie im zainteresowania.

- A co będzie, jeśli Jenny zlekceważy twoje zainteresowanie?

Kitt zuł powoli łożkę zielonej pietruszki.

- Gdyby tak było, powiedziałaaby chyba o tym ostatniej nocy, kiedy to zaproponowałem jej, żebyśmy mieli romans. Nie usłyszałem z jej ust słowa „nie”. Prawdę powiedziałwszy, chyba zaakceptowała moją propozycję.

- A więc nie usłyszałeś z jej ust słowa „nie” - powtórzył Tray.

- Pomyśl, Traherne, jestem idealnym wręcz lekarstwem w tym szczególnym przypadku opóźnionego rozwoju. Zaleciłby mnie każdy rozsądny lekarz. Wiem, że dobrze jej zyczysz, ale Jenny nie chce być jedną z twoich podopiecznych, którymi zajmujesz się w ramach dobroczynności. Ta dziewczyna chce trochę poszaleć, nadrobić wszystkie lata, które spędziła w małym miasteczku, żyjąc bogobojnie. Prawdę powiedziawszy, ostatniej nocy chciała trochę przy-

spieszyć tok wydarzeń. W stosunku do Jenny mam ustalone plany. Zamierzam zabrać ją dziś do domu. Nie sądzisz, że moja siedziba ma sporo uroku? Powinna się jej spodobać. A ponadto osiągam najlepsze rezultaty, kiedy działam na własnym terytorium.

Traya zabolalo serce. Obraz Jenny zwracającej się o pomoc do Kitta był przygnębiający.

- Weź ją sobie - powiedział twardo. - Należy do ciebie.

Nagle tuż za plecami obaj bracia usłyszeli niski, rozczłony głos:

- A więc formalności zakończone. Zostałam przydzielona Kittowi.

Tray poczuł dreszcz. Odwrócił powoli głowę i napotkał oskarżycielski wzrok Jenny.

Stała tuż za nimi. Na tyle blisko, by słyszeć wszystko, o czym mówili. Każde ich wypowiedziane słowo.

Miała na sobie białą, lekką, bawełnianą sukienkę, białą przepaskę we włosach i białe sandały. Wyglądała jak niewinna panna młoda... lub jak zjawa.

Nie. Usta Traya pragnęły wypowiedzieć to jedno słowo, chciał zaprzeczyć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. W tej chwili gotów był oddać wszystko za to, by cofnąć czas. Lecz ten, jak wzburzone fale rzeki, płynął nieubłaganie.

Pierwszy ocknął się Kitt.

- Jenny! Nie wiedzieliśmy, że już się przebudziłaś. I wyszłaś ze swojego pokoju. Słyszałaś, o czym mówiliśmy?

- Jestem rozbudzona i w pełni przytomna - odparła szybko. - Mam przed sobą piękny dzień, który zapowiada się wspaniale. Kitt, kiedy wyruszamy?

- Kiedy wyruszamy? - powtórzył lekko zdezorientowany Kitt, pocierając podbródek. -No... w każdej chwili. Gdy tylko spakujesz swoje rzeczy i przygotujesz się do drogi. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że weźmiemy twój samochód?

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - spytała Jenny i zaraz dodała: - Przecież należę do ciebie.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie było ich. Od dwu godzin, sześciu minut i dwunastu sekund.

A on pozwolił im odjechać.

Bez słowa.

Bez jakiegokolwiek sprzeciwu.

Bez żadnej reakcji.

Święty Malone. Fajtlapa.

Z fiolki z aspiryną Tray wytrząsał dwie następne tabletki i połknął je. Wziął ich już trzy razy po dwie, a więc sześć, lecz mimo to ból głowy, który rozsadzał mu czaszkę, ani trochę się nie zmniejszył. Ból nekający go od dwu godzin, sześciu minut i dwunastu sekund.

Od śniadania Tray nie opuszczał swego apartamentu. Nie podnosił słuchawki bez przerwy dzwoniącego telefonu. Nie odpowiadał na wezwania pagera. Nie ruszył się z łóżka od chwili, w której, wyglądając ukradkiem przez zaciągnięte zasłony, zobaczył, jak mały żółty sportowy wóz opuszcza teren ośrodka White Mesa. Z wysokości dwunastego piętra samochód wyglądał jak zabaweczka. Jak coś, co dzieci znajdują w czekoladowych słodyczkach.

Wydawało się, że jednym ruchem ręki można by zagarnąć taki samochodzik, podnieść i odstawić z powrotem do garażu, w którym było jego miejsce.

Po raz setny zadzwonił telefon. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach Tray patrzył tępo w sufit i uśmiechał się ponuro, słysząc, jak aparat dzwoni bez przerwy.

Zamknął się w czterech ścianach pokoju jak rozgniewany mały dzieciak.

Na tę myśl roześmiał się tak głośno, że nowa fala bólu niemal rozłupała mu czaszkę. Być może było w nim więcej z Kitta Malone'a, niż przypuszczał. W tej chwili nie przejmował się niczym.

Pager zaczął wydawać kolejne piski. Oznaczało to, że sekretarka ponownie próbuje odnaleźć swego szefa. Tray popatrzył na denerwujący go aparacik i mruknął:

- Żeby to było ostatni raz, Margaret Keistermeyer. Pan Malone jest niedostępny dla nikogo. I będzie niedostępny w przewidywalnej przyszłości. Przyszłość ... - Tray wziął głęboki oddech i potarł obolałe skronie - do diabła, ten ból mnie zabije...

Od lat nie miał migreny. Ból, którego teraz doznawał, z powodzeniem wystarczyłby za wszystkie inne, razem wzięte.

Jenny, Jenny... Dlaczego pozwoliłem ci odjechać? Dlatego, że sobie tego życzyłaś.

Tak po prostu. Dama chciała się zabawić, potrzebowała rozrywki. Czemu nie? Do tej pory jej życie nie było wesołe. Egzystowała w ramach narzuconych jej rygorów, podlegała różnorodnym naciskom. A co na to Tray Malone? Nigdy nie był rozrywkowym, facetem. W przeciwieństwie do Kit-ta. Na tym polu o współzawodnictwie obu braci nie mogło być w ogóle mowy.

Jenny nie pragnęła, by ktoś ją ocalił, a była to jedyna działalność, w której Tray był zawsze naprawdę dobry. W ratowaniu ludzi. W wyciąganiu żelaza z ognia, a także

królików z kapelusza i asa z rękawa. Na tym polu nie było nikogo od niego lepszego.

Dbał o wszystko i wszystkich. Z jednym wyjątkiem. Nigdy nie troszczył się o siebie.

Tray przytulił twarz do poduszki. Pozwolił sobie na myślenie o Jenny. Widział ją, jak - olśniewająca - stoi w drzwiach baru. Delikatny zarys jej kości policzkowych. Przypominał sobie sposób, w jaki piersi dziewczyny przemyły się w jego dłoniach. Słodki smak miodu na jej wargach. I zapach... Taki świeży, dziecinny... Pobudzający wyobraźnię.

Była i zniknęła.

Odjechała z Kitem.

Tray oddał się lubieżnym myślom, podczas gdy Święty Malone trzymał się kurczowo swoich zasad. Przecież był człowiekiem poważnym, odpowiedzialnym i kompetentnym. Jednym z tych sensownych facetów, którym można zaufać. I do tego dobrym.

A dobrym nigdy się dobrze nie wiecie.

Traya Malone'a ogarnęło szaleństwo.

Drzwi do apartamentu otworzyły się z impetem. Z głębi sypialni Tray nie mógł dostrzec, co się dzieje. Usłyszał odgłos naciskanej gwałtownie klamki.

I zaraz potem przed jego łóżkiem stanęła pani Margaret Keistermeyer. Z rękoma opartymi na biodrach wyglądała imponująco. I groźnie. Takiej nie widział jej nigdy. Jego sekretarka była osobą zawsze opanowaną, spokojną. Ona także, podobnie jak jej szef, bez przerwy się kontrolowała. Biedna, zbłąkana duszyczka.

- Pokojówka powiedziała mi, że jest pan tutaj, panie Malone - oznajmiła, unosząc wysoko głowę. - Dowiedziałam się, że przebywa pan w tym pokoju od dwóch

godzin. Nie mogło umknąć pańskiej uwagi, że usiłowałam skontaktować się z panem - dodała cierpko. - Jest pan potrzebny na dole, w biurze. Od ponad godziny czekają na pana trzej ludzie z banku oraz prawnicy ich i pańscy. Same bardzo ważne osobistości, o czym ciągle mi pan przypominał. Jak pan dobrze wie, chodzi o niezwykle istotne sprawy finansowe. Kiedy pan się nie zjawił, uznałam, że ściera pana z nóg jakaś nagła choroba. Jestem bowiem przekonana, że nic innego nie byłoby w stanie przeszkodzić panu w wykonywaniu obowiązków. Mimo to jednak musimy...

- Co stało się z pani włosami? - zapytał nagle Tray. Pani Margaret Keistermeyer wydała okrzyk zdumienia.

- Z moimi włosami? Czy jest z nimi coś nie w porządku?

Tray wzruszył ramionami.

- Nic takiego. Chyba zgubiła pani spinki. Jeszcze nigdy nie widziałem pani z włosami zwisającymi po obu stronach twarzy.

- Zwisającymi? - z przerażeniem w głosie powtórzyła pani Margaret Keistermeyer, dotykając głowy i tego, co pozostało ze starannie upiętego koka. - Nie miałam pojęcia, że tak wyglądam. Jak strach na wróble. W biurze od rana był taki ruch, że nie miałam okazji... W każdym razie bardzo pana przepraszam, panie Malone. No, ale to nie jest odpowiednia chwila, żeby myśleć o sobie. Musimy...

- Proszę nie przepraszać. Podoba mi się ta nowa fryzura. A poza tym proszę zwracać się do mnie po imieniu. Sekretarka skrzywiła się z niesmakiem.

- Po imieniu? Ależ to nie wchodzi w grę, proszę pana.

- Zna mnie pani od ośmiu lat. Dlaczego nie może pani mówić mi po imieniu?

- Panie Malotte, zaletą, którą najwyżej u pana cenię, jest profesjonalizm. Po prostu nie jest pan człowiekiem, do którego ludzie zwracają się w sposób tak bezpośredni.

- A do mojego brata mówi pani po imieniu - przypomniał Tray.

- Doceniam pańską propozycję - oświadczyła chłodnym tonem pani Margaret Keistermeyer. - Rozumiem, że zależy panu na tym, żebym czuła się w pańskiej firmie jak w rodzinie. Zapewniam, że ze stosunków panujących w pracy jestem bardzo zadowolona. - Margaret Keistermeyer, idealna sekretarka, zachowywała się, jak zawsze, poprawnie. - Pański brat, mimo że jest ogromnie lubiany, nie budzi takiego szacunku jak pan. A teraz, jeśli pan pozwoli, może wrócimy do sprawy...

- Mam dość okazywania mi szacunku. Od tego robi mi się niedobrze. Chcę być facetem rozrywkowym. Dziś rano miałem okazję złamać nos memu kochanemu braciszкови. Powinienem to zrobić... - Piekielny ból głowy nie zamierzał ustąpić. Tray spróbował się podnieść, lecz zaraz zamknął oczy i opadł na poduszkę. - Czy byłaby pani uprzejma dać mi trochę wody? Połknąłem na sucho sześć tabletek aspiryny. Utkwiły mi w gardle.

Nie zadając żadnych pytań, Margaret Keistermeyer wykażała wiele taktu. Podała Trayowi szklankę wody.

- Proszę, panie Malone - powiedziała nieco zmienionym, przytłumionym głosem, tak jakby nie była pewna, czy ma do czynienia z człowiekiem normalnym. - Widzę, że czuje się pan źle. Przepraszę zebranych w pańskim imieniu i na jutro rano przełożę termin narady.

Tray do dna wychylił szklanę i postawił ją sobie na piersi. Zaczął głęboko oddychać, przemyślnie balansując szklanką, która zachybotała się i przewróciła.

- Margaret, powiem pani coś w sekrecie. - oznajmił.

- Jutro czeka go cholerna niespodzianka.

- Kogo?

- Kitta. O nim przecież mówię. Doprowadził mnie do ostateczności. Stworzył nowego Frankensteina.

Margaret Keistermeyer zaczęła wykazywać oznaki niepokoju.

- Może powinnam zadzwonić do pańskiego brata i poprosić go, żeby...

- Przekroczyłem granicę - poinformował ją Tray rozmazonym głosem. - Margaret, to się wreszcie stało. Nadeszło nieuniknione. Przekroczyłem granicę. Zaraz wpadnę w szal przez duże S.

Sekretarka zaczęła cofać się w stronę drzwi.

- Miał pan ostatnio zbyt wiele stresów. To chyba dobry pomysł, żeby wziąć sobie wolne i wypocząć przez jeden dzień. Proszę się nie niepokoić, panie Malone, przesunę termin narady. Proszę leżeć spokojnie. - Margaret Keistermeyer zawahała się przez chwilę. - Czy wie pan, gdzie jest teraz Kitt? Na wszelki wypadek, gdybyśmy go potrzebowali...

- Pojechał do swojego domu - odparł Tray. Jak przez soczewkę patrzył na Margaret przez leżącą na piersi szklanę. - Wrócił na to swoje cholerne ranczo. Margaret, on ją wziął ze sobą. Jeśli naprawdę myśli, że pozwolę mu narozrabiać, to jest idiotą. Dbałem o Kitta przez dwadzieścia lat, przez całe dorosłe życie płaciłem cholerne podatki i rachunki. Do diabła z tym wszystkim!

Podniósł wzrok i popatrzył na sekretarkę.

Przerażona Margaret Keistermeyer spoglądała w milczeniu na szefa.

- Wezmę się za to wszystko - enigmatycznie oznajmił Tray. -I wie pani, co się stanie? Nie zamierzam przy tym grać fair.

W tym momencie Margaret Keistermeyer uciekła z pokoju.

Od razu Jenny wiedziała, że popełniła błąd. Drobnym? Szczerze mówiąc, błąd kolosalny.

Zrozumiała to w chwili, w której zgodziła się wraz z Kittem Malone opuścić ośrodek White Mesa. Nie chciała nigdzie z nim jechać, zwłaszcza na jakieś odludne ranczo na pustyni. Ale to uczyniła.

Dlaczego?

Powód był prosty. Bo Tray Malone przekazał ją bratu jak parę rękawiczek. Poczuli się zdradzeni i skrzywdzeni, lecz milczali.

Tray Malone okazał się wstrętnym hipokrytą. Szowinistą. Człowiekiem bez serca.

I znów napytała sobie biedy.

Podczas dwugodzinnej jazdy na ranczo ani słowem nie odezwała się do Kitta. Nie była w stanie mówić. Ze zdenerwowania rozboleł ją żołądek. Podchodził do gardła. Jenny obawiała się, że jeśli otworzy usta, może zacząć wymiotować w samochodzie.

Kitt nie zwracał uwagi na jej uporczywe milczenie. Prowadził mały sportowy samochód Jenny, nie zważając na żadne ograniczenia szybkości. Przez całą drogę gadał jak nakręcana zabawka o swoim ranczu, tłustej świni, którą trzymał jako zwierzę domowe, a także o zamiarze wybudowania pewnego dnia na podwórzu za domem łaźni, która

mogłaby pomieścić dwanaście osób. A dokładniej, dla dwunastu kobiet.

Tym razem na dobre pokpiłam sprawę, ponuro pomyślała Jenny.

To, co się działo, było gorsze niż odkrycie, że narzeczonny rzucił ją dla striptizerki.

To, co się działo, było gorsze niż obserwowanie, jak spala się doszczętnie jej dom.

To, co się działo, było wynikiem całkowitej utraty przez nią kontroli nad swoim życiem.

Droga, którą kroczyła Jenny, prowadziła od rondla z rozgrzany olejem do pożaru i do... Właściwie do czego? Do czyścica? Do czeluści piekieł? Do spopielenia?

Spod półprzymkniętych powiek popatrzyła na Kitta. Jego jedwabiste, rozjaśnione słońcem włosy tworzyły aureole wokół miłej twarzy. Uśmiechał się promiennie jak dziecko i miał na sobie bawełnianą koszulkę z wizerunkiem Myszyki Miki. Wcale nie przypominał szatana. Dlaczego więc Jenny tak bardzo się obawiała, że zaraz pokaże jej diabelskie różki?

Nie była to prawda, że miała w nosie Traya Malone'a. Nawet teraz myślała o nim z nadzieją i bólem serca. Nie istniało żadne logiczne uzasadnienie, dlaczego w tak krótkim czasie zainteresowała się poważnie tym prawie obcym mężczyzną. Było to tym bardziej dziwne, że łączyło ich niewiele. A raczej wszystko i nic. Nieme przyrzeczenie przyjemności i smutku, słodkie oczekiwanie i skrajna beznadziejność... Wszystko to było okropnie zagmatwane. W każdym razie Jenny czuła, że los zrobił jej psikusa. Jeśli chodzi o fatum, trzeba mieć się na baczności, uznała. Bo - o czym zdążyła się już przekonać na własnej skórze - wszystkiego można było się po nim spodziewać.

Po dwóch godzinach jazdy w obłokach piasku wzniesionego przez wiatr, w blasku prażącego słońca, dojechali do miejsca, w którym szosa zamieniła się w wąską drogę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otaczająca ich dotychczas równina przekształciła się w księżycowy krajobraz. Tu i ówdzie wyrastały z ziemi wysokie wieże z piaskowca, rzeźbione od stuleci przez wiatry i wodę.

Tutaj, w samym środku tego niesamowitego krajobrazu, u podnóża niewielkiej wyżyny, znajdowała się farma Kitta.

Po podwórzu ogrodzonym drutem uganiało się stado krzykliwych kaczek.

Właściciel tego dziwaczного rancza podjechał pod zardzewiałą furtkę i wysiadł z samochodu. Jenny przezornie została w środku.

- Nic ci nie zrobią - zapewnił ją Kitt, patrząc z rozczuleniem na rozbiegane i rozkrzyczane stado. – One tylko udają, że są groźne. Nazywam je moimi kaczymi strażnikami. Na pierwszy rzut oka wydają się groźniejsze niż rozjuszony byk.

- Te duże ptaki to nie są kaczki - ponuro stwierdziła Jenny. - Mają jadowite żądła.

- To są gęsi, słonko. Nie mają żadnych jadowitych żądał, lecz tylko niezwykle silne dzioby. - Kitt otworzył drzwi wozu od strony Jenny i wyciągnął ją ze środka.

- Przyznaję, że moje kaczki z trudem oswajają się z nieznanymi, ale jestem przekonany, że polubisz Dinah-Lee. Mieszka w zagrodzie na podwórzu za domem, lecz kiedy tu przyjeżdżam, pozwalam jej biegać do woli, tam, gdzie jej się podoba. Zobaczysz, jest niezwykle sympatyczna. I czuła. Lubi, jak się ją drapie po łbie.

- Dinah-Lee? - słabym głosem powtórzyła Jenny, pełna najgorszych przeczuc.

Gdy Kitt otwierał frontowe drzwi domu, nie spuszczała wzroku z głośno syczących gęsi.

- Moja świnka - wyjaśnił Kitt. - Jazda stąd, pierzaste diabły! Jazda! Jenny, popatrz, jak się denerwują i stroszą pióra, kiedy są zaniepokojone najazdem na ich terytorium. Prawda, że wyglądają ślicznie? Na wszelki wypadek trzymaj się z daleka od tych bestii.

Jenny uczepliła się kurczowo koszulki Kitta i szła tuż za nim. Przez całą drogę obawiała się ataku kaczogęsiego oddziału. Jazgoczące stado zamierzało wejść do środka domu, lecz Kittowi w ostatniej sekundzie udało się zatrzasnąć przed nimi drzwi.

- Hodując kaczki, człowiek nigdy nie odczuwa samotności - oznajmił Kitt. - A więc jesteśmy na miejscu. Oto, dziecinko, mój dom. Zbudowany własnymi, tymi oto spracowanymi rękami. Co ty na to?

Jenny rozejrzała się wokół siebie. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się parę mebli, starych gratów, zupełnie do siebie nie pasujących. Z wypłowiałych, przetartych obić wystawała pożółkła wyściółka. Podłogę z desek pokrywała gruba warstwa kurzu.

Powierzchnię mieszkalną od kuchennej oddzielał tylko wolno stojący kafłowy piec. W zlewie walały się sterty brudnych naczyń. We wszystkich kątach zwisały z sufitu długie lepy na muchy.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - wyjąkała Jenny. Była przerażona.

- Ciasne, ale własne. - Kitt popchnął Jenny w stronę otwartych drzwi. - A niebawem ujrzysz pomnikowe dzieło mych rąk. Popatrz na to łóżko.

Jenny zagryzła wargę. Łóżko. Było ogromne i masyw-

ne. Zbudowano je z ociosanych bali. Zajmowało niemal całą przestrzeń pomieszczenia. Miało cztery kolumny i bardzo gruby materac. Pod łóżkiem było tyle miejsca, że Jenny mogłaby z powodzeniem przejść pod nim na czworakach. Miała ochotę to zresztą zrobić.

Westchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Na mnie już czas - oznajmiła nieswoim głosem.

Kitt jej nie usłyszał. Położył się na materacu swojego imponującego łóżka.

- Do licha, tęskniłem do tego mebla! - wykrzyknął.

- Bardzo mi go brakowało. Ów materac to też wspinał się dzieło. Zrobione w całości z gęsiego puchu. Oczywiście, nie z piór moich gęsi. Na przyjaciółach nigdy nie sypiam. To jest pierze z nie znanych mi ptaków. Jenny, rozluźnij się, usiądź wygodnie. Sądzę, że wystarczą nam dwie lub trzy godziny.

Jenny podeszło serce do gardła. Zmartwiała.

- Dwie lub trzy godziny? - powtórzyła.

- Dziecino, nie patrz na mnie takim wzrokiem. Dobrze wiem, co robię. Możesz mi zaufać. Chodź do mnie. Wskakuj na łóżko. Kiedy się tu znajdziesz, poczujesz się jak w niebie.

Zdumioną Jenny ogarnęła irytacja. Czego zresztą mogła się spodziewać po dojrzałym mężczyźnie, który zamiast psów obronnych trzyma kaczki i nosi koszulkę z wizerunkiem Myszki Miki?

- Poczuję się jak w niebie - powtórzyła. - Ale czy ty nie uważasz, że trochę przesadzasz? Nie pójdę z tobą do nieba. Ani nigdzie indziej. Wiesz, co zrobię? Wsiądę zaraz do mojego samochodu. Czy naprawdę sądziłeś, że zaraz wskoczę do twojego łóżka i... i...

- Nie mów nic więcej. - Kitt zeskoczył na podłogę.

Chciał przytrzymać Jenny za ramię. - Nie wyżywaj się na mnie. Ja właśnie tylko kładę...

- Nawet o tym nie myśl! - Jenny wymierzyła Kittowi siarczasty policzek. - Jeśli do mnie podejdziesz, przysięgam, że powyrywam ci te wszystkie złote loki! Oberwiesz tak, że mnie popamiętasz do sądnego dnia.

- ...podwaliny! - wykrzyknął Kitt. Od uderzenia w twarz oczy zaszczyły mu łzami. - Właśnie kładę podwaliny, zwariowana dziewczyno! Wcześniej czy później zjawi się tu Tray. Jak rozjuszony hipopotam zażąda zwrotu swej ukochanej. Czy ty niczego, nie rozumiesz? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robimy? Powiedziałem ci ostatniej nocy, że powinniśmy udawać, iż łączy nas romans. Że się kochamy. Udawać. Czy pamiętasz?

- Ostatniej nocy? - Głos Jenny wyraźnie stracił na sile, - Prawdę mówiąc, niewiele pamiętam z tego, co wtedy się działo.

- Nic dziwnego. Byłaś pijana jak bela. - Kitt popatrzył podejrzliwie na Jenny. - Nie będziesz mnie atakować? O rany, to nie do wiary! Pierwszy raz w życiu spróbowałem zrobić coś dobrego i co się dzieje? Obrywam po twarzy. Musisz wiedzieć, że kiedy robiłem różne świństwka, nikt nie wymierzył mi żadnego policzka.

Jenny podniosła wzrok i popatrzyła na ślad swej dłoni widoczny na twarzy Kitta. Była zgnębiona.

- Tak mi przykro, że cię uderzyłam - powiedziała. - Przepraszam cię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nigdy dotąd nie byłam osobą porywczą ani gwałtowną.

- Jenny-Lou.

- Słucham.

- Już jesteś spokojna?

- Tak.

- To dobrze. Wychodzę przed dom, żeby przynieść twoje torby z rzeczami. Jeśli chcemy przekonać Traherne'a, musimy zachować wszelkie pozory. Nie wolno nam nic przeoczyć. Zostań tutaj i bądź nadal spokojna.

- Kitt.

- Słucham.

- Czy ty wiesz, co robisz?

- A co to za pytanie? - obruszył się Kitt. Jego głos brzmiał cierpko. - Aż mnie wstrząsa na myśl, co by się stało między tobą a moim bratem, gdybym nie był na miejscu i nie wziął sprawy w swoje ręce. Żadne z was nie ma ani krzty zdrowego rozsądku. Tray ma tyle zalet, że się nimi dławi. W żaden sposób nie może zrozumieć, że jeśli człowiek żyje według ściśle ustalonych zasad, traci w życiu wszystko, co najpiękniejsze. A ty... ty możesz sobie wierzyć w to, że jesteś kobietą wyemancypowaną, ale wiedz, że masz więcej zahamowań niż królowa Wiktoria. Ach, gdzie się podziały te dobre, dawne czasy, kiedy to mężczyzna, Upatrzawszy sobie odpowiednią kobietę, chwycił ją za włosy i ciągnął do swej jaskini? Wierz mi, masz wielkie szczęście, że jestem przy tobie. I że wziąłem sprawę w swoje ręce... - To mówiąc, Kitt opuścił pokój.

Jenny usiadła na niskim taborecie stojącym obok łóżka i ukryła twarz w dłoniach.

Kitt wziął sprawę w swoje ręce. To było straszne!

Tray Malone wkroczył na wojenną ścieżkę. Prowadził samochód jak szalenię. Wciskając gaz do deski, gnał przez pustynię. Zapadał zmrok.

Opuścił White Mesa dopiero po południu. Piekielna mi-

grena sprawiła, że przez wiele godzin nie był zdolny do czegokolwiek. Parę mocnych drinków, duże porcje aspiryny i kilka godzin leżenia w zaciemnionym pokoju zrobiły wreszcie swoje. Ból głowy wyraźnie się zmniejszył. Teraz atakował tylko tył czaszki, umożliwiając jej właścicielowi w miarę normalne funkcjonowanie.

Tray wyrzucił pagera przez okno, przebrał się w dżinsy, adidas i bluzę od dresu. Był to strój odpowiedni na polowanie na Kitta.

Kiedy dojechał wreszcie na miejsce, zaparkował samochód obok znanego mu małego sportowego wozu. Dom tonął w ciemnościach. Na ten widok w żyłach Traya Malone'a zawrzała krew. Energicznie otworzył furtkę. Opadły go zaraz kaczkę i gęsi, jazgocząc przeraźliwie. Nie zwrócił na nie uwagi.

Dopiero teraz zorientował się, że jest słaby jak nowo narodzone dziecko. Nie jadł od rana. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, lecz dzielnie szedł naprzód. Ogarnęła go nagła euforia. Poczł się lekki jak piórko, wolny od wszystkich tajemnych więzów, którymi był skrupowany przez dwadzieścia lat. Uśmiechał się promiennie.

Do licha, czuł się z tym dobrze. Bardzo dobrze.

Wszedłby do środka bez pukania, ale drzwi domu były zamknięte. Walił w nie pięściami, krzycząc i klnąc, ile wlezie, dopóki Kitt przez szparę nie wystawił nosa.

- Kogo widzą moje oczy? Czy to nie rycerz Lancelot we własnej osobie? - zapytał wesoło.

- Tak, we własnej, - odparł Tray.

I w tej sekundzie stało się z nim coś dziwnego. Zakończył żywot człowieka spokojnego i poczciwego. Z całej siły rąbnął brata pięścią między oczy.

Rozległ się głośny jęk. Strużka krwi popłynęła z nosa Kitta. Z wnętrza domu dobiegł kobiecy krzyk.

Tray popatrzył bratu prosto w oczy i roześmiał się głośno, swobodnie. I zaraz potem, jak ścięty, padł zemdłony na ziemię.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do Jenny dotarło wreszcie, że żyć spontanicznie oznacza żyć bardzo ryzykownie.

W małym domu na pustyni zapanowało istne piekło.

Półprzytomny Tray leżał rozciągnięty jak długi na kanapie i kłął pod nosem.

Kitt usiłował zatamować krew leącą mu z nosa rękawem swej bawełnianej koszulki z wizerunkiem Myszki Miki i równocześnie odganiał od brata tłustą świnię, która w jakiś dziwny sposób dostała się do wnętrza domu. Dzwonił telefon.

Jenny ruszyła najpierw w stronę Traya, potem do telefonu, a jeszcze później - w pogoń - wokół pieca, za świnią.

- Opuścić statek! - dał rozkaz pękający ze śmiechu Kitt. - Do diabła, ale zabawa! Dinah-Lee, chodź do tatusia, słoneczko.

- Zwariowałeś? Co ja najlepszego zrobiłam! Musiałam upaść na głowę, że zgodziłam się przyjechać z tobą do tej chałupy! - wykrzykiwała Jenny.

Ze świnią nie dała sobie rady. Tłuste zwierzę okazało się szybkie i zwinne. Wreszcie Jenny dała za wygraną. Padła na kolana obok kanapy i w drżące dłonie ujęła twarz leżącego Traya.

- Jest rozpalony - stwierdziła. - Kitt, co mu zrobiłeś?

Kitt przestał na chwilę uganiać się za świnią i z niechęcią popatrzył na Jenny.

- Co ty, do diabła, wygadujesz? Przecież to nie ja go uderzyłem, lecz on mnie! Kto tu się teraz wykrwawia? Dlaczego nie martwisz się o mnie?

- Tobie nic nie jest w stanie zaszkodzić - odrzekła Jenny, energicznie wachlując dłonią twarz Traya. - A poza tym jesteś przytomny, a on nie! Przestań gonić tę głupią świnię i odbierz wreszcie telefon.

- Ta kobieta zamieniła się w żmiję - mruknął Kitt, nachylając się nad telefonem. - Dać babie palec, to od razu zażąda całej ręki. Pozwoliliśmy im głosować. To był nasz pierwszy błąd...

Jenny nie słuchała wynurzeń Kitta. Zdążyła się już do nich przyzwyczaić. Zdjęła mokry ręcznik z czoła Traya i przycisnęła policzek do jego gorącej, wilgotnej skóry. Miał gorączkę, była tego pewna. I silne dreszcze. Dygotał gwałtownie.

- Jesteś chory! - krzyknęła, potrząsając leżącego za ramiona. - Mogłeś się zabić, jadąc tutaj w takim stanie! Czy nie masz ani krzty zdrowego rozsądku?

Złote oczy, błyszczące gorączkowo, otworzyły się powoli. Tray popatrzył na Jenny i uśmiechnął się lekko.

- Nie jestem wcale chory, lecz skonany. To duża różnica. Poza tym czuję się świetnie. Gdzie jest Kitt? Mam ochotę jeszcze raz go trzepnąć...

Jenny ogarnęła panika.

- Kitt, on majaczy! Do diabła, to wszystko twoja wina! Widzisz do czego doprowadziły twoje głupie pomysły? Musimy mu pomóc. Poszukaj aspiryny lub jakiegoś innego lekarstwa. Trzeba zaraz zadzwonić do doktora! Nie widzisz, że twemu bratu jest potrzebna pomoc? Uspokój tę okropną świnię! - Przeniosła wzrok na leżącego i pochyliła się nad nim.
- Tray? Tray, czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Tray ujął w dłonie twarz Jenny, przyciągnął do siebie i na jej wargach wycisnął namiętny pocałunek.

- Jesteś śliczna - szepnął.. - Potrzebuję cię, Kocham, pragnę...

- O, Jezu! -jęknęła Jenny. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna, zdrowy czy chory, nie patrzył na nią tak jak teraz Tray Malone. W jego oczach dostrzegła pożądanie. To pewnie z powodu gorączki. Jenny nie była typem kobiety, na którą mężczyźni tak reagowali. - Tray, źle się czujesz. Nie jesteś sobą. Jesteś albo bardzo chory, albo wreszcie Kittowi udało się doprowadzić cię do szału.

- Trochę boli mnie głowa. I to wszystko. Nie ma powodu do obaw. - Oczy mówiącego uśmiechały się do niej.

Dotknął palcem czubka nosa Jenny i zanucił, fałszując, tenorem: „Wszystko, co robi Kitt, ja mogę zrobić znacznie lepiej”.

Jenny spojrzała błagalnie na Kjtta, lecz on właśnie wykrzykiwał coś do słuchawki.

- Wiem, że możesz- powiedziała pojednawczo do Tra-ya. - Być może udowodnisz mi to, kiedy tylko poczujesz się dobrze.

- Żadne „być może” - zaprotestował Tray. Nagle zamknął oczy i natychmiast z uwodziciela zmienił się, w nieszczęsnego inwalidę. - Boli mnie głowa - poskarżył się.

- Dlaczego, do diabła, wyjechałaś z tym idiotą? Powiedz Kittowi, żeby przestał krzyczeć. I niech wreszcie zabierze stąd tę kwiczącą świnię. Jak mogę spać w takim hałasie? Nie pojmuję, jak dorosły człowiek może trzymać w domu świnię...

- Kitt, jesteś mi teraz potrzebny! - zawołała Jenny. Udało się jej wreszcie zwrócić na siebie uwagę Kitta.

Powiedział coś do słuchawki i położył ją na widelki.

- To nie odbywa się zgodnie z moim planem - warknął przez zaciśnięte zęby - Co z Trayem?

- Ma wysoką gorączkę. Chyba powinieneś to już zauważyć - odparła, urażona. - Pewnie dlatego zemdłał zaraz po przyjeździe. Usiłowałam ci to powiedzieć, ale byłeś zbyt zajęty wrzeszczeniem do słuchawki i uganianiem się za świnią. Tray złapał grypę lub coś w tym rodzaju. Jest chory. Majaczy.

- Przestań mówić o mnie tak, jakbym był po dopiero co przebytej operacji mózgu - wymamrotał Tray, leżąc nadal z zamkniętymi oczyma. - Byłoby najlepiej, gdybyście przestali gadać. Tu jest zbyt hałaśliwie. Kaczki i świnię. Ludzie i kury... - Jęknął i potrząsnął głową. - Boli mnie gardło i plecy. Jenny, gdzie jesteś?

Dotknęła jego ramienia.

- Tuż obok. Kitt też. Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą.

Kitt skrzywił się.

- Ten facet ma cholerne szczęście, że jest Chory - warknął, z niechęcią spoglądając na brata. - W przeciwnym razie oberwałby ode mnie. I to solidnie.

- Dość tego - ofuknęła go Jenny. - Czy nie potraficie być mili dla siebie? Dlaczego bez przerwy ze sobą walczyacie? Kitt, tym razem zrób coś pożytecznego. Masz termometr?

- A co ja bym robił z termometrem? - obruszył się - Prawdziwi mężczyźni nie mają w domu termometrów
Czy ja wyglądam na pielęgniarkę?

- Gdybym poczuł się lepiej - słabym głosem odezwał się Tray - pomyślałbym pewnie ó rewanżu.

Jenny jęknęła.

- Poziom testosteronu w waszych organizmach jest

tak wysoki, że aż mnie to przeraża! Kitt, znajdź coś, czym można by przykryć Traya. On ma dreszcze.

- Za chwilę. Najpierw musimy omówić coś ważnego. Ten telefon był od sekretarki Traya. Mówiła, że jej szef zniknął.

.- Głupia kobieta - podsumował Tray. Obrócił się na bok.- Wcale nie zniknąłem. Leżę tutaj na kanapie i zaraz się podniosę.

- Musisz koniecznie odpocząć. Jenny dotknęła wilgotnych włosów opadających na czoło Traya..- To dla ciebie najlepsze. Zamknij oczy a spróbuj zasnąć.

Tray odsunął jej rękę.

- Nie teraz. Jestem, zmęczony. Trochę się zdrzemnę.

- Dobrze, zdrzemnij się. - Jenny odczekała, aż oddech leżącego zrobi się równy i miarowy, a potem spojrzała na Kitta, - Dlaczego tak sterczysz bez ruchu? Przynieś mu wreszcie koc lub jakieś inne nakrycie - szepnęła.

Kitt też zniżył głos.

- A czy ty wreszcie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia? Nie możemy pozwolić mu spać! Musimy odwieźć Traya do hotelu. Jego sekretarka powiedziała...

Jenny podniosła się z miejsca. Zacisnęła pięści. Jej oczy miały błyskawice.

- Kitt, czy ty, nie rozumiesz, że on jest chory? Twoja gra jest skończona. Nie pozwolę ci, żebyś budził Traya, chyba że-chcesz mieć podbite oko, do kompletu z rozkwaszonym nosem. Daj wreszcie jakiś koc!

- Poczekaj... – zaczął Kitt. Spojrzał na brata pochrapującego, na kanapie. - Do diabła - zmienił ton na poważny - wszystko jest inaczej, niż sobie zaplanowałem. Zwykle Tray robi to, czego się po nim spodziewam, ale dziś, z jakiegoś nie znanego, mi powodu...

- Prosiłam cię, żebyś przyniósł koc - niemal sycząc ze złości, powtórzyła Jenny.

Kitt stanął przed nią na baczność, zasalutował i ruszył w stronę sypialni. Po chwili wrócił, trzymając w ręku wyblakłą, mocno sfatygowaną pierzynę.

Jenny potrząsnęła nią. Zaczęła kichać, gdy z pierzyny uniosły się tumany kurzu i pierze.

- Czego się spodziewałaś? - odezwał się Kitt. - Leżała w szafie od osiemdziesiątego piątego roku. Spójrz na pierze fruujące wokół twojej głowy. Wygląda na to, że moja pierzyna zdecydowała się odlecieć na południe. Do ciepłych krajów. Dlaczego się nie śmiesz?

Jenny nie była w nastroju, żeby śmiać się z głupich dowcipów Kitta. Prawdę powiedziawszy, zaczynał działać jej na nerwy. Interesował ją teraz tylko i wyłącznie chory młody człowiek o złotych oczach, który przybył po nią jak bohater z romantycznej bajki.

Po nią. Po Jenny Louise Rossi z Toluca w stanie Teksas, która nigdy w życiu nie zrobiła nic nadzwyczajnego.

Pomyślała o sposobie, w jaki Tray traktował zwykle swego bliźniaczego, ekstrawaganckiego brata. Sam usuwał się w cień.

Rozmyślała o poświęceniach, na jakie było go stać, kiedy Jenny rzuciła na niego całą odpowiedzialność za to, co powinni robić, a czego nie. Na tę myśl coś ją ścisnęło za gardło.

Ostrożnie przykryła Traya pierzyną.

- Jest rozpalony - stwierdziła. - Czy nie powinniśmy skontaktować się z lekarzem?

Kitt opadł ciężko na krzesło. Miał spuchnięty nos. Nie był przyzwyczajony do tego, że coś nie układa się po jego myśli. Zwłaszcza wtedy, kiedy starał się być pełen uroku i bardzo dowcipny.

- Jenny, to grypa. Jedna z tych czterdziesto ośmiogodzinnych. Przechodziłem ją, gdy wracaliśmy z naszej wyprawy. Różnica polega jedynie na tym, że ja potrafię mieć gorączkę i podczas jej trwania nie widzieć różowych słoni. Inaczej rzecz się ma z Trayem. On zachowuje się wtedy dziwnie. Tak było zawsze, jeszcze we wczesnym dzieciństwie. Świadczy to zresztą o jego niedojrzałości.

- Twoja serdeczność w stosunku do brata jest wzruszająca - zakpiła Jenny.

- Czego się spodziewałaś? Mój brat wszystko schrząnił i to właśnie ja muszę wybrnąć z powstałej sytuacji. Nie przechodziłem żadnego szkolenia, nie wiem, jak zachowywać się w nagłych wypadkach. Nie lubię być przypierany do muru. Mówiłem ci już że dzwoniła sekretarka Traya. Powiedziała, że jutro rano mój brat ma nadzwyczaj ważną naradę. Ma negocjować wielomilionowy kontrakt. Nie wielotysięczny, lecz, powtarzam, wielomilionowy. Dla Traya to niezwykle ważna sprawa. Do tego przedsięwzięcia przygotowywał się przez dwa lata.

- Powiedz sekretarce, żeby odroczyła spotkanie.

- Mówiłem! Oznajmiła, że nie może. Narada miała się odbyć już wcześniej, lecz Tray się na niej nie pojawił. Wystawił wszystkich do wiatru. Sekretarka powiedziała, że zamknął się w pokoju i odmówił pójścia na naradę! Co, do diabła, ten facet sobie myśli?

- Czy możesz mówić ciszej? On jest chory.

- Wiem, że jest chory, ale to nie pora żeby z nim się cackać. Możesz mi wierzyć, nie podziękuję nam za to. Pozwólmy mu pospać godzinę lub dwie. Potem oblejemy Trayowi twarz zimną wodą, napijemy go kawą i...

- Kitt. - Głos Jenny brzmiał łagodnie. — Zachowujesz się jak tchórz. Czy wiesz, dlaczego? Bo nie masz wyboru

i musisz stawić czoło powstałemu problemowi, jak na dorosłego człowieka przystało. Dlatego histeryzujesz.

- Bzdury!

- Tray nie jest teraz w stanie niczego negocjować i dobrze o tym wiesz. Przez całe lata troszczył się o ciebie. Chronił cię przed wszelkimi kłopotami. Czas więc najwyższy, żeby teraz ktoś, kto przypomina Traya Malone'a, poszedł jutro rano na tę naradę.

W pokoju zapanowała cisza.

W kącie świnia drapała się i pochrząkiwała.

- Nie mówisz tego serio - wreszcie odezwał się Kitt. W jego głosie brzmiała desperacja. - To się nie uda. Do diabła, przestań patrzeć na mnie takim wzrokiem! Nie mogę tego zrobić. Z prostego powodu. Tray i ja jesteśmy jedynojajowymi bliźniakami, identycznymi tylko z wyglądu. Poza tym różni nas wszystko. Ja nie mam nawet matury. Dostaję wysypki, kiedy muszę przebywać w jednym pomieszczeniu z wykształconymi ludźmi. Poza tym...

- Przemyślałam już sobie tę sprawę. - Jenny krążyła wokół krzesła, na którym siedział Kitt. Nie spuszczała go z oczu.

- Mam trochę doświadczenia z tego rodzaju problemami. Swego czasu pielęgnowałam pudła sąsiadów. Znajdź mi nożyczki.

- Jezu... Mówisz serio?

- Zrelaksuj się, Kitt. To nie będzie wcale bolało.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tray otworzył oczy. Zobaczył pokój skąpany w słońcu. Zamyślił się na chwilę, a potem odwrócił głowę. Wzrokiem szukał Jenny.

Tak jak przypuszczał, była w pobliżu. Skurczona, w niewygodnej pozycji, spała na staroświeckiej kanapce. Na jej policzku widniały głębokie bruzdy odcisnięte podczas snu. Ciemne włosy były potargane. Musiało jej być zimno, gdyż na ubranie naciągnęła sfatygowany szlafrok kąpielowy Kitta'. Nadal miała na sobie białe sandały.

Tray przestał zmagać się z samym sobą. Wiedział, czym Jenny jest dla niego. Właściwą partnerką. Nieodzowną towarzyszką życia.

Przez dłuższy czas obserwował śpiącą. Z tak wielką i natężoną uwagą, jakby to była najważniejsza czynność, jaką kiedykolwiek wykonywał. Czuł się rozbity i słaby, ale zwalczył w sobie chęć zamknięcia oczu i dalszego snu. Na taką chwilę jak ta czekał zbyt długo, by stracić z niej choćby ułamek sekundy.

Nie liczył upływającego czasu. Nie wiedział, która jest godzina. W pokoju robiło się coraz cieplej. W półśnie Jenny ściągnęła z siebie szlafrok Kitta i rzuciła go na ziemię.

Jakiś czas potem zamrugła powiekami, otworzyła oczy i spojrzała na Traya. Była jeszcze półprzytomna.

- Śniłam - niewyraźnie wymamrotała pod nosem. - Tu jest pudel. A ta mała świnią...

- Świnię widziałas przed zaśnięciem - odezwał się Tray. - Ale nie mam pojęcia, dlaczego śniłaś o jakimś psie. Jenny uśmiechnęła się.

- Jesteś okropnie potargany. Ale rano ładnie wyglądasz...-Ziewnęła.

- Minęło chyba południe... - sprostował. - Wczoraj wieczorem sprawiłem ci dużo kłopotu. Nadużyłem twojej cierpliwości.

Wreszcie ocknęła się na dobre. Usiadła wyprostowana na kanapce, wygładziła pomiętą bluzkę i skrzyżowała nogi przed sobą, tak jak tego uczyła ją matka.

- Nic podobnego. Byłeś zbyt chory, żeby nadużyć czyjejkolwiek cierpliwości. Czy nie pamiętasz, że zemdlałeś przed domem, na ganku?

Tray potarł szczękę.

- Musiałem upaść na twarz. Boli mnie podbródek.

- Tak, to prawda odrzekła Jenny. - Ale przedtem rąbnąłeś w nos biednego, Bogu ducha winnego Kitta. Pamiętasz o tym?

- Naprawdę tak zrobiłem? - ucieszył się Tray. — Sądziłem, że to był tylko sen. Nic dziwnego, że teraz czuję się sto razy lepiej. Wszystkie te lata narastającej wrogości...

- Jesteś okropny - stwierdziła Jenny. - Jak możesz tak się zachowywać w stosunku do brata?

- A co to za różnica?

- Bracia nie rozbijają sobie nosów. Przynajmniej ja tak uważam.

- Do diabła z nim. - Tray mężnie wytrzymał pełen pojęcia wzrok Jenny. - Jeśli ode mnie oberwał, to bardzo dobrze. Należało mu się. Od chwili w której zabrał mi ciebie.

Jenny nerwowo przełknęła ślinę. Sytuacja zaczynała się

komplikować. Oto poważny, zrównoważony pan Malone patrzył na nią pałającym wzrokiem. Pełnym pożądania. W tej chwili do złudzenia przypominał swego bliźniaczego brata. Wyglądał jak Kitt.

To nie miało sensu. Jak wszystko w życiu Jenny od paru ostatnich dni. Zastanawiała się; czy innym normalnym ludziom zdarza się przekroczyć jakąś istotną granicę i równocześnie stracić samokontrolę. Zarówno nad umysłem, jak i nad sercem.

- On mnie nie zabrał - surowo przypomniała Trayowi.
- Ty mu mnie oddałeś.

Tray przymknął na chwilę oczy.

- Ty nie... Nie mogę... Nie ma... Ja nigdy... Do diabła z tym wszystkim!

- Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

Jenny wstała z kanapki, podniosła z podłogi zrzucony szlafrok Kitta i zaczęła go składać. Starannie, metodycznie, powoli. W końcu uczyniła z niego niewielką kostkę.

Tray nie spuszczał wzroku z Jenny. Na jego wargach błąkał się dziwny uśmiech.

- Jesteś śliczna.- oznajmił.

Wstał. Uśmiech na jego twarzy przemienił się w grymas. Chwiał się na nogach, jakby był zabawką miotaną przez wiatr.

- Siadaj - nakazała Jenny. - Bo zaraz się przewrócisz.

- Nie.

Zrobił chwiejny krok w jej kierunku.

- Połóż się! Co ty wyczyniasz? Masz grypę. Wracaj z powrotem do łóżka!

- Nie mogę. Przepraszam.

Zrobił jeszcze jeden krok.

- Czemu się wygłupiasz? Usiłujesz wyprowadzić mnie

z równowagi? Zirytować? Zachowujesz się tak samo jak twój brat. Tray, to nie jest w twoim stylu.- Jenny rzuciła w niego szlafrokiem Kitta. - Czy mnie słuchasz?

Schwycił szlafrok i przerzucił go sobie przez ramię.

- Nie. Uważaj, nie cofaj się dalej, bo wpadniesz na ścianę.

Uderzyła plecami o coś twardego. Miał rację. Patrzyła, jak podchodzi bliżej z niebezpiecznym uśmiechem na ustach i zdradzieckim błyskiem w złotych oczach. Jenny знаła Traya Malone'a, lecz ten mężczyzna, który się teraz do niej zbliżał, był zupełnie obcy.

- Weź się w garść - powiedziała schrypniętym z, wrażenia głosem. Była okropnie zdenerwowana. - Do licha, przecież jesteś chory!

- Już nie. Czy wiesz, co zaraz ci zrobię? - zapytał.

Muszę wyglądać koszmarnie, pomyślała Jenny, Rozmazany makijaż, skołtunione włosy, pomięte ubranie, w którym się przespała. Och, i nie umyte zęby. Ani wczoraj wieczorem. Ani dziś rano.,

- Nic mi nie zrobisz, bracie - zaprotestowała ostro.
- Jesteś chory.

- Bracie? - powtórzył - Jesteś taka ładna... - Objął rękoma twarz Jenny. Czowała ciepło bijące od jego dłoni i lekkie drżenie ciała osłabionego gorączką, kiedy delikatnie przywierał nogami do jej ud.

Jenny wiedziała, że jest chory i że nie odpowiada za swoje czyny. Niemniej jednak zareagowała na bliskość... zdrowszych części jego ciała. Żałowała, że nie ma żadnego doświadczenia. Ani jako pielęgniarzka, ani w sprawach damsko-męskich.

- Nie mogę robić tego w środku dnia - wydusiła z siebie.

- Co z tobą, dziewczyno? Gdzie twoje seksualne zapędy? Przecież chciałaś zacząć żyć spontanicznie. Przypominasz to sobie?

Strzał był celny. W dziesiątkę. Jenny zamrugła oczyma. Była zahipnotyzowana blaskiem bijącym z oczu Traya, połyskującymi, spłóviałymi od słońca jasnymi włosami i dotykiem rozpalonej, wilgotnej skóry.

- Tray - odezwała się, zdesperowana - mam nadzieję, że jesteś teraz przytomny, bo muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Jeśli chodzi o seks, nie mam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Należę do tych kobiet, które nie posmakowały...

- Czego?

Jenny była speszona coraz bardziej.

- No, wiesz.

- Gładkie policzki. Anielska buzia. Cudo. - Tray obdarzył Jenny dziwnym uśmiechem. Pełnym obietnic. Wiedziała, że zapamięta go po wsze czasy. - Weź się w garść. Nieważne, czy jesteś gotowa, czy nie;

Nachylił się i pocałował ją.

W czubek nosa.

Zawiedziona Jenny spojrzała na Traya, kiedy zaraz potem podniósł głowę.,

- O co chodzi? - spytała.

- Lubisz, gdy cię całuję?

- Gubię się - jęknęła. -Próbujesz doprowadzić mnie do szału, prawda? Ty i twój brat. Działacie identycznie. To spisek przeciwko mnie.

- Być może. Może szczęśliwy człowiek traci rozsądek. A może po raz pierwszy w życiu jestem zdrow na umyśle.

- Tray nie miał pojęcia, czy mówi z sensem, ale czuł się wspaniale. Chory, słaby, beztroski. I... pełen życia jak

nigdy. Czuł się znakomicie. Odrzucenie poczucia obowiązku i winy było jak zażycie oszałamiającego narkotyku.

Nagle odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem. Głowa bolała go jak diabli. A potem objął Jenny. Z całej siły, choć miał jej niewiele.

- To, czego doznaję, w całości zawdzięczam tobie - szepnął.

- Chcesz mnie obrazić? - zaperzyła się Jenny.

- Dzieciaku, wiesz doskonale, że to komplement pod twoim adresem. Daj mi piętnaście minut na gorący prysznic, a okażę ci swoją wdzięczność.

Dzieciaku. Nie było to szczególnie pieśczętliwe określenie, lecz serdeczność i czułość w głosie Traya, kiedy je wymawiał, sprawiła, że ze wzruszenia coś ścisnęło ją w gardle.

- Nie powinienes się nadwierać - powiedziała szorstko. - Jesteś nadal chory. Kwadrans nic... nic ci nie da. Potrzebujesz czasu, żeby wydobrzeć. Zaopiekuję się tobą. Obiecałam to Kittowi.

- Och, zaopiekujesz się mną. - Tray był przekonany, że Jenny tak właśnie uczyni. - Przymknął oczy. - A jeśli już mowa o moim drogim bracie, to gdzie on jest? Zadał sobie tak wiele trudu, żeby ściągnąć mnie tutaj. Muszę Kittowi za to koniecznie podziękować, zanim każę mu spakować swoje manatki.

Jenny uznała, że w stanie, w jakim się znajdują, Tray nie potrafi pojąć sensu zamiany bliźniaczych braci, którą sobie umyśliła i wprowadziła w czyn. Przełknęła nerwowo ślinę i zacisnęła kciuki. Na szczęście, żeby wszystko się powiodło.

- Wrócił do Phoenix - oznajmiła sucho. - Musi zająć się... pewną sprawą. Zadzwoń do nas wieczorem.

- To dobrze. Powiem mu, żeby został w mieście i tu nie przyjeżdżał.

W pokoju zapanowała cisza.

Tray przesunął palcem po policzku Jenny. Przyglądał się uważnie jej twarzy, błędząc wzrokiem od małego wgłębienia na policzku aż do brwi i kosmyka zmierzwionych włosów, po dziecinnemu zatkniętego za ucho.

Nikt dotąd tak dokładnie nie studiował jej twarzy. Jeszcze nigdy w niczyich oczach nie widziała takiej aprobaty.

A ona pragnęła - jakże bardzo pragnęła - być lepsza od innych kobiet. Była pewna, że Tray miał z wieloma z nich do czynienia. Doświadczonymi, wyrafinowanymi i wytwornymi jak on sam. Kobietami, które dawno temu zdobyły czarne pasy nie w karate, lecz w walce obu płci.

A potem pojawiła się Jenny Louise Rossi, która wiele obiecywała, robiła uniki i nie mogła się zdecydować.

- Pytam z czystej ciekawości - odezwała się nagle. - Skąd to przekonanie, że będę umiała... zaopiekować się tobą?

Rzucił jej zabójcze spojrzenie.

- Słodka mała dziewczynko, jeśli o to chodzi, nie mam ani cienia wątpliwości.

- Nigdy nie byłam... - urwała, bo poczuła, że Tray zacisnął zęby na jej uchu - nie byłam bardzo silna i wysportowana. Słuchasz, co do ciebie mówię?

- Tak, moja droga - odparł posłusznie. Przesuwał teraz wargami po skórze na szyi Jenny, zostawiając na niej wilgotny ślad. - Nie martw się, jakoś sobie poradzimy.

Zamknęła oczy. Wargi Traya wywoływały cudowne doznania. Nie było łatwo mówić składnie.

- Jesteś bardzo pewny siebie-szepnęła.

Podniósł głowę. Zachmurzył się. Jenny zauważyła, jak

przełykał ślinę. Palcami przeczesywał jej splątane włosy, mierzwiąc je jeszcze bardziej.

- Jenny, nie mam żadnych wątpliwości. Kogoś takiego jak ty szukałem bardzo długo. Całe lata. I gdy stanęłaś na mojej drodze, natychmiast cię rozpoznałem.

Zagryzła wargi. Jej oczy zaszklily się łzami wzruszenia. Poczula bolesny ucisk w gardle. Serce biło jak szalone, po wariacku.

Uśmiechnęła się. Najpierw niepewnie i nieśmiało, a potem szeroko i promiennie. Jak słońce ukazujące się zza chmur. Kryształowe łzy połyskujące na rzęsach sprawiły, że rozjaśniła się cała jej twarz.

Nikt nigdy nie patrzył na nią w taki sposób jak ten mężczyzna. Jego spojrzenie wyrażało całkowitą akceptację, podziw i miłość. Takiego spojrzenia nie widziała nigdy u Grahama. Ani u własnej matki.

- Teraz, kiedy mnie odnalazłeś - wyszeptala łamiącym się głosem - co zrobisz ze mną?

Opuścił ręce i cofnął się o krok. Uśmiechnął się z czułością. "

- Daj mi trochę czasu - poprosił - a sama zobaczysz.

- Jenny? Mówi Kitt. Prawdziwa katastrofa.

- Miałeś wypadek samochodowy? - Jenny ramieniem przytrzymała słuchawkę. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z zamkniętych drzwi do łazienki. Słyszała szum wody, granie rur, lekkie stąpanie Traya po kafłowej posadzce i fałszywe podśpiewywanie.

- Nie. Mam rozstrój nerwowy. Załamanie. Masz pojęcie, skąd do ciebie dzwonię? Z cholernej uniwersyteckiej biblioteki. Nie byłem w tego rodzaju przybytku, odkąd skończyłem dwanaście lat. A teraz pot zalewa mi oczy, a ja

jak głupi czytam wszystko na temat spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, udziałów, akcji i prawa handlowego. Gdzie, do diabła, podziewa się mój brat?

- Bierze prysznic.

- Dobrze. To znaczy, że czuje się lepiej. Wsadź go do swego małego wozu i przywieź z powrotem do Phoenix. Na porannej naradzie blefowałem, ile wlezie, ale ta sytuacja nie może się powtórzyć. Na dziś wieczór zaplanowano uroczystą służbową kolację, żeby uczcić nową umowę. Wiedz, że w tej imprezie nie zamierzam uczestniczyć. Co za dużo, to niezdrowo.

Jenny machinalnie bawiła się sznurem telefonu i myślała gorączkowo. Tray czuł się już chyba na tyle dobrze, by móc iść na tę kolację. Odwiezienie go do Phoenix była winna Kittowi. Zwłaszcza po tym, co mu zrobiła. Obcięła bratu Traya włosy i zmusiła go do udziału w mistyfikacji.

Przez cały czas dźwięczały jej w uszach słowa Traya: -

- Daj mi piętnaście minut i pozwól wziąć gorący prysznic, a ja ci okażę swoją wdzięczność.

- Jak dałeś sobie radę dziś rano? - spytała, żeby zyskać na czasie.

- Kto to może wiedzieć? Chyba całkiem nieźle, biorąc pod uwagę fakt, że nie miałem zielonego pojęcia, o czym w ogóle mówiłem. Jenny, daj Traya do telefonu. Muszę z nim pogadać. Moje zszargane nerwy nie zniosą jeszcze jednego takiego spotkania. Jenny, czy masz pojęcie, jak wyglądałem? - Kitt aż jęknął. - Miałem na sobie jeden z garniturów Traya, ten od Armaniego. I jego wytworne skarpetki; To było okropne. Wyglądałem idiotycznie. Jak biznesmen. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że to byłem ja, a nie Tray, spaliłbym się ze wstydu. Moją reputację diabli by wzięli. Klnę się na wszystkich świętych, że z ner-

wów dostałem wysypki. Jenny, musisz wyciągnąć mnie z tej cholernej opresji. Marzę o powrocie do moich kaczek, świni i brudnej bielizny. Pragnę znów być na swoim ranczu.

- Nie doceniasz się, bracie - mruknęła Jenny pod nosem, a Kitt jednak dosłyszał jej słowa.

- Nie bierz mnie pod włos. Nie ze mną takie numery. Daj mi wreszcie Traya.

Przebacz, Kitt, że zaraz cię okłamię, pomyślała Jenny. Zwróciła się do telefonicznego rozmówcy:

- Aż boję się o tym ci powiedzieć - zaczęła niepewnie - ale Tray ma bardzo wysoką gorączkę. Prawie czterdzieści stopni. Umieściłam go pod zimnym prysznicem, żeby obniżyć temperaturę ciała.

- Ty go umieściłaś pod prysznicem? - Kitta aż zatkało. Na chwilę zapomniał o swoich kłopotach.

- Nie dosłownie. Powiedziałam mu tylko, co ma robić. Dałam dokładne wskazówki. Tray jest zupełnie bezradny. Nie wie, co się z nim dzieje. Gada bez składu i ładu, majaczy. Jest bardzo chory. Kitt, musisz wziąć się w garść i jakoś przetrwać to wieczorne spotkanie.

Kitt zaklął szpetnie.

- Dlaczego właśnie mnie to robisz! - jęknął rozzłoszczony. - Do diabła, jestem zwykłym człowiekiem a nie jakimś tam przedsiębiorcą!

- Pierwsze kroki zawsze są trudne. Pamiętaj, że wszystko zależy od ciebie. Nie możesz pokpić sprawy.

- Cholernie mnie pocieszyłaś! Zdjęłaś mi kamień z serca! Bardzo ci dziękuję - wysyczał ze złością. - Jak mogłem pozwolić się wpakować w taką kabałę?

- Bo jesteś bardzo dobrym bratem. - Jenny usiłowała udobruchać Kitta. Przez cały czas nerwowo zerkiała na drzwi łazienki. Nasłuchiwała dochodzących stamtąd od-

głosów. Szum wody ucichł. Jenny musiała zakończyć rozmowę z Kittem, zanim Tray opuści łazienkę. - Jesteś świetnym bratem. Za to, co dla niego robisz, Tray będzie ci wdzięczny do grobowej deski.

W słuchawce zapanowała cisza. Po chwili Jenny usłyszała ponury głos Kitta:

- Jak myślisz, ile trzeba czasu, żeby odrosły mi włosy? To chyba potrwa bardzo długo.

- Nie martw się o włosy. Odrosną - zapewniła go Jenny. - Kitt, muszę już kończyć naszą rozmowę. Coś mi się zdaje, że Tray przewrócił się pod prysznicem.

Rzuciła słuchawkę na widelki, a potem aż jęknęła, zdumiona własną śmiałością.

Co zrobiła najlepszego?

Ostrzygła Kitta.

Sprawiła, że umowa w sprawie sieci hoteli, na której tak bardzo zależało Trayowi, może zostać nie podpisana...

Kłamała bez zmrużenia oka. Jednym słowem, stała się okropnym człowiekiem. A zaledwie kilka dni temu niejaka Jenny Louise Rossi była dobrą, łagodną i poczciwą dziewczyną, która zawsze mówiła prawdę i starała się robić wszystko jak najlepiej.

Otworzyły się drzwi łazienki. Wyszedł z nich Tray. Miał ręcznik na biodrach i nic więcej. Krótkie, świeżo umyte włosy sterczały mu na głowie.

Był mokry i piękny.

- Coś się działo, kiedy byłem w łazience? - zapytał. Przebaczone, Tray, że zaraz cię okłamię, pomyślała Jenny.

- Nic specjalnego - mruknęła. Nie mogła oderwać wzroku od obnażonego, umięśnionego męskiego torsu. - Karmiłam świnie.

- To miło z twojej strony. A więc... - Rozwarł ramiona. - Wszystko jest teraz do twojej dyspozycji.

- Co? - spytała Jenny zduszonym głosem.

Tray uniósł brwi.

- Prysznic, malutka. Możesz się wykąpać.

Z trudem oderwała wzrok od Traya. Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

- Oczywiście. Świetnie. Wiem, że wyglądam okropnie. Muszę doprowadzić się do porządku.

Tray uśmiechnął się szeroko.

- Chyba powinienem coś na siebie włożyć - powiedział miękko głosem. - Co o tym sądzisz?

- A jak myślisz? - warknęła Jenny. Postanowiła zająć pozycję obronną. - Może lubisz paradować nago, ale ja wolę ubranych mężczyzn.

- Naprawdę? - Tray zaczął powoli przechadzać się po pokoju. Nie spuszczał przy tym wzroku z Jenny. - Może sprawię, że zmienisz zdanie - powiedział z figlarnym błyskiem w oczach. Jenny przyglądała się, jak Tray wchodzi do sypialni Kitta. Po paru sekundach przez szparę w drzwiach wysunął rękę. W dwóch palcach trzymał ręcznik.

- Coś mi się zdaje, że jest to jedyny ręcznik w tym domu. Weź go sobie, grzeczna dziewczynko.

Jenny wyczuła rozbawienie w głosie Traya. Pojęła szybko, że z niej kpi.

- Jestem nadal osobą trochę wstydliwą - odparła powoli. - Dlaczego, niegrzeczny chłopcze, nie przyjdiesz tutaj i nie podasz mi go sam?

Blef okazał się niefortunnym posunięciem.

Drzwi od sypialni Kitta otworzyły się szeroko.

Jenny krzyknęła i uciekła do łazienki. W chwili gdy zamykała za sobą drzwi, wilgotny ręcznik opadł jej na plecy.

Przez ścianę usłyszała męski głos:

- Poczekam na ciebie, pączku róży, aż stamtąd wyjdiesz.

Oparła głowę o ścianę. Dyszała ciężko i z trudem łapała powietrze.

Jej życzenie miało się urzeczywistnić.

Znajdowała się w przedsionku krainy szczęścia. Wiele emocjonujących i wspaniałych chwil czekało małą i niepozorną Jenny Louise Rossi.

Przestała nerwowo oddychać. Poczula się dziwnie. Przez całe ciało zaczęły przepływać fale gorącą.

Jej piersi nabrzmiały. Czuła ich ciężar. Pod warstwą ubrania piekła skóra, tak jakby zbyt długo była poddawana działaniu promieni słonecznych.

Tu, w tym domu na pustyni, stanie się to, czego od dawna bardzo pragnęła. Wiele w życiu Jenny działo się - zgodnie z planem. Ale nic nie okazało się urzeczywistnieniem marzeń. Teraz będzie inaczej. Cudownie.

Zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w gwałtowne bicie swego serca. Przestała rozmyślać. Skupiła się na oddychaniu i wyteżyła słuch.

Drgnęła gwałtownie, gdy w holu nagle zaskrzypiała drewniana podłoga. Zawołała:

- Tray? Jesteś tam?

- Tak.

Znajdował się blisko. Tuż obok. Jenny nie zapomniała, że nie miał niczego na sobie.

- Pewnie ci zimno - powiedziała matowym głosem.

- Marznę. Chodź i mnie ogrzej.

- Muszę wziąć prysznic. Jestem okropnie brudna.

- Zobaczysz, że zginę bez ciebie - odrzekł spokojnym tonem. - A tego chyba nie chcesz. Mam rację?

- Przyjdę dopiero wtedy, kiedy będę czysta.
- Słonko, jesteś okropnym tchórzem.
- Masz rację. A więc... poczekaś?
- Będę czekał tak długo, aż zamienię się w pieniek.
- To jest takie dziwne. Wszystko jest niesamowite.

Zdumiewające, że do niczego nie doszliśmy - niezbyt składnie powiedziała Jenny.

- Ale dojdziemy. - Tray mówił cichym głosem. - Zabiorę cię tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś. Daj mi szansę. Proszę tylko o jedno. Jenny, zostań ze mną.

- Dobrze - zgodziła się.

Była to odpowiedź naturalna i spontaniczna.

Nie pożałowała jej. Nigdy.

Wyglądała świetnie. Wilgotne, schnące długie włosy tworzyły wokół ramion połyskliwą aureolę. Zrezygnowała z włożenia nowych, ekstrawaganckich ciuchów. Miała na sobie białą, bawełnianą bluzkę z podwiniętym do łokci rękawami i džinsy.

Była prawie bez makijażu. Czula się dobrze, bo była znów sobą. Pierwszy raz w życiu sprawiło to jej niekłamaną przyjemność.

Niestety, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją teraz oglądać.

Dom był opustoszały. Świnia o dźwięcznym imieniu Dinah-Lee znajdowała się na ganku od strony podwórza. Stado wojowniczych kaczych strażników hałasowało przed domem. Jenny nie mogła nigdzie znaleźć Traya.

Zdziwiona jego nieobecnością, podeszła do frontowych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Przed rozwrzeszczanym ptasim stadkiem uchroniła ją przegroda, zwisająca na tylko jednym zawiasie.

Pustynne słońce, które przybrało barwę czerwieni, znajdowało się na niebie tuż nad skalną ścianą z piaskowca. Było piękne popołudnie. Jenny poczuła się nagle samotna.

I wtedy ujrzała Traya. Siedział za ogrodzeniem, na rozpostartej kołdrze, niedaleko od frontowej furtki, w cieniu gigantycznego kaktusa. Od razu ją zobaczył.

- Jenny! Chodź do mnie! Pobawimy się! -zawołał wesoło.

Miała ochotę na zabawę. Roześmiała się, lecz zaraz potem zrobiła ponurą minę.

- Nie mogę. Tu są kaczki. Jak ci się udało...

- Nie zważaj na nie. - Tray lekceważąco machnął ręką. - Są groźne tylko na pozór. Tupnij mocno nogą i je rozpędź.

Jenny tupiała przez całą drogę. Szybko zamknęła za sobą zbawienną furtkę. Serce biło jej jak szalone, ale nie ze strachu przed kaczymi strażnikami.

Nagle ogarnęło ją przeświadczenie, iż w tej chwili dzieje się coś bardzo ważnego. Że w jej egzystencji następuje wielki przełom. Od dziś w życiu Jenny Louise Rossi nic nie będzie takie jak dawniej. Wszystko się zmienia.

W miarę jak szła w stronę Traya, każdy krok przybliżał ją do niewidzialnej granicy. Mimo to czuła się bardzo dobrze. Ostatnio zaczęła cenić sobie swoje dotychczasowe życie.

Zatrzymała się tuż przy kołdrze, na której siedział Tray. Nie chciała być zbyt blisko niego, bo to utrudniłoby jej obserwację. Jego jasne włosy zdążyły już wyschnąć. Każdy ich kosmyk sterczał w innym kierunku, a promienie słoneczne rozświetlały jego czuprynę złocistym blaskiem. Miał na sobie wytarte dżinsy i sfatygowaną koszulkę z dużym czarnym nadrukiem na piersi. Już na pierwszy rzut oka było

widać, że należy do Kitta. I jeszcze jedna rzecz zaskoczyła Jenny. Tray był boso. Długimi, opalonymi stopami obracał jak dziecko we wszystkie strony.

- Tray? - spytała podejrzliwie Jenny. - Czy to aby na pewno ty?

- Jasne, że ja. - Z piaszczystej ziemi wydłubał jakiś długi, zielony pęd i wetknął go sobie między zęby. - Kto inny mógłby tu być zamiast mnie?

- Wyglądasz jak Kitt;

-Przedtem takie spostrzeżenie rozżłościłoby mnie okropnie. Ale widocznie ostatnio złagodniałem. Chodź bliżej i siadaj. Jesteś za daleko ode mnie.

Jenny stała nadal. Jakiś zły duch podszeptował jej, że skoro okazała się nieatrakcyjna dla jednego mężczyzny, to dlaiczego miałaby być pociągająca dla innego. Dlaczego Tray miałby być inny niż Graham?

- Jenny -powiedział Tray łagodnym tonem. Wsunął dłoń pod nogawkę jej dżinsów i zaczął łaskotać skórę czubkiem znalezione go pędu. Nie odrywał wzroku od oczu Jenny, - Słonko, powiem ci coś W sekrecie. Posłuchaj mnie i uwierz w moje słowa. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, która jest pociągająca pod każdym względem. Zarówno zewnątrznie, jak i wewnątrznie. Jesteś słodka, naturalna i tak ładna, że sam twój widok łamie mi serce.

- Och - szepnęła. - To się dopiero okaże, jaka naprawdę jestem. Brak mi doświadczenia. Tray, czy ty naprawdę wiesz, jak to się robi?

- Jenny, to co nas łączy, jest czymś zupełnie nowym nie tylko dla ciebie, lecz także dla mnie. To nie jest kwestia doświadczenia. Zrobię to,»co nakazuje mi serce. Pójdę za jego głosem.

- A więc..., a więc powinniśmy kierować się naturalnymi odruchami?

Tray uśmiechnął się.

- Dobry pomysł.

- Kierować się naturalnymi odruchami - powtórzyła Jenny. Też jej się to spodobało.

Nie spodziewał się po Jenny następnego ruchu. Ona też nie oczekiwała tego od niego. Pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły nachyliła się nad Trayem. Leżał na wznak, z rękoma pod głową. Po chwili umościła się na nim i jej biodra znalazły się między jego rozchyłonymi udami.

Działała instynktownie. Jeszcze nigdy nie było jej tak dobrze i tak wygodnie jak teraz. Zaczęła tarmosić włosy Traya. Wczepiła się w nie kurczowo zachłannymi palcami. Dotknęła wargami skóry na jego twarzy. Przesuwała je po policzkach, ustach, podbródku, czole i znów po ustach. Jej pocałunki były lekkie jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Od dawna pragnęła całować Traya. Musiała teraz nadrobić stracony czas.

- Jenny. - Głos Traya brzmiał chrapliwie. -To, co robisz, jest bardzo podniecające. Zaczynasz być świetna w kierowaniu się naturalnymi odruchami. Gdybyś tylko mogła, słoneczko, przesunąć trochę łokieć, bo wbija mi się w ramię.

- Przepraszam,

- Nic się nie stało.

Odsunęła rękę,; lecz nadal wargami wodziła po ciele Traya. Czubek języka zostawiał na jego skórze wilgotny ślad. Poczwała, jak Tray oddycha szybciej i coraz bardziej nierówno. Przecież był chory, uprzytomniła sobie. Niedaw-

no. Nie powinna go męczyć, by nie nastąpił nawrot choroby. To byłoby bez sensu.

- Posunęłam się trochę za daleko - wyznała. - Będę zachowywała się ostrożniej. Niedawno byłeś chory. Jesteś osłabiony. Jeśli zapomnę, przypomnij mi o tym.

- Jestem osłabiony. - Jednym nagłym ruchem Tray obrócił się na bok i całym ciałem przygniótł Jenny. Jego złote oczy lśniły dziwnym blaskiem. - Potrzebuję więc stałej opieki. Musisz się mną zajmować. W dzień i w nocy. Och, potrzeba mi płynów, wiele płynów. - Pochylił głowę. Przeciągnął lekko językiem po górnej wardze Jenny. - Prawdziwy nektar...

Tego właśnie mi trzeba. Słodkich, wilgotnych ust.

Jęknęła z rozkoszy, kiedy język Traya wsunął się głęboko między jej wargi. Uzmysłowała sobie, że po raz pierwszy w życiu jest całowana tak zachłannie.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ciało Jenny ożyło. Nabrzmiały piersi, stwardniały sutki. Zamknęła oczy. Przestała widzieć rozciągający się wokół pustynny kraj obraz, lecz nadal pod powiekami zachowała wizerunek całującego ją mężczyzny.

A więc trzeba robić to, co dyktuje własny instynkt, pomyślała.

Słyszała, jak w piersi coraz głośniejszy i szybciej łomocze jej serce. Czowała gęsią skórę na ramionach, a także ziarenka piasku w sandałach. Rzeczy małe, nic nie znaczące. Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, co stanie się niebawem. Przestała myśleć o własnym braku doświadczenia w sprawach seksu.

Odczuwała narastające w niej pożądanie. Pragnienie zaspokojenia najbardziej pierwotnych potrzeb.

Tray uniósł głowę i spostrzegł rozgorączkowaną twarz

Jenny. Palcami dotknął jej rozpalonego policzka.

- Opuściłaś etap pierwszy - oznajmił. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

Pieściła wargami żyłą pulsującą na jego szyi.

- Na czym on polega? - spytała po chwili.

- Leżymy przytuleni do siebie i gadamy o mało ważnych rzeczach tak długo, aż zapomnisz o skrępowaniu.

- Nie sądzisz, że to strata czasu? Przecież nie jesteśmy skrępowani - stwierdziła Jenny. - A na czym polega etap drugi?

- Zachowujemy się jak para podnieconych nastolatków i wtedy ja czuję się naprawdę skrępowany reakcją swego ciała. Dziecino, ja właśnie przechodzę ten etap.

Poruszyła udami.

- Ja też. Czy wiesz, jak się czuję? Jak gruszka. Dojrzała, gotowa do spadania z drzewa. Słodka, ciepła i soczysta...

- O Boże. - Tray oparł głowę na czole Jenny. - Zachowuj się tak dalej, a zaraz znajdziemy się na etapie dziesiątym.

- Dziesiątym? - powtórzyła lekko zdławionym głosem. - Czy naprawdę jest aż tak wiele... etapów?

W Trayu zawrzała krew. Całe jego ciało pokryło się warstwą potu. Odczuwał w podbrzuszu znajomy ból pożądania. Był w pełni gotowy.

- Powiedziałem: dziesiąty? Miałem na myśli etap piąty - szepnął chrapliwym głosem.

- Tylko nie próbuj mnie oszukiwać - ostrzegła go Jenny.

- Nie zamierzam.

Zaczęła się śmiać z własnej zuchwałości. To niemożliwe. Jenny Louise Rossi tak sienie zachowuje, I nie doznaje takich wrażeń. Nie jest kobieca. Ani seksowna. W pełni naturalna. Czyżby ta prawdziwa kobieta, z krwi i kości,

tkwiła w niej od dawna? Może trzeba było właściwego człowieka, który by ją w niej wyzwolił?

- Dziękuję ci, Trayu Malone - powiedziała miękkim głosem.

- Nie ma za co. Jeszcze nic nie zrobiłem.

Uśmiechnęła się na widok czerwieniejących policzków

Traya. Ta chłopięca reakcja wzruszyła ją i oczarowała.

- Dziękowałam ci za to, eo nastąpi. Widzisz, jakie mam do ciebie zaufanie?

- Dziewczyno, te twoje niebieskie oczy... - Nagle Tray obrócił się na plecy i ramieniem zakrył twarz. - Malone, panuj nad sobą - mruknął. - Nie pamiętam, na czym polega etap trzeci, ale jestem pewny, że etap czwarty w żadnym razie nie może się rozgrywać w pobliżu kaktusa.

- Dlaczego?

Nadal ramieniem zasłaniał twarz.

- Możesz mi wierzyć.

- Dobrze. Wierzę. - Nastąpiła chwila milczenia. - Tray?

- Co się stało?

- Czy mnie słuchasz? - Jenny wyciągnęła rękę i lekko drżącymi palcami odgarnęła włosy opadające na czoło leżącego. - Ufam ci. Więcej o tym nie myśl. I nie martw się o mnie. Tylko...

Odsunął rękę, którą zakrywał twarz.

- Tylko co?

- Kochaj mnie - szepnęła. - Pożądam cię, Tray. Pomóż mi. Pragnę...

Obrócił się i wziął ją w ramiona. Po chwili znalazła się pod nim.

Jego spokój i opanowanie przysły jak bańka mydlana.

Powiedziała, że go pragnie, więc będzie trzymał ją za słowo.

Wargi Traya wpiły się w usta Jenny. Z wrażenia aż jęknęła. Tę chwilę wyobrażała sobie wiele razy. Chciała, by Tray przestał się kontrolować i dał ponieść zmysłom. Nigdy jednak nie potrafiła wyobrazić sobie iskier, którymi emanowało teraz jego ciało. Iskier, które przenikały ją do głębi, wywołując nie znane dotychczas, zmysłowe odczucia.

Jenny przestała myśleć, gdy Tray językiem zaczął badać jej usta. Odsuwał wargi i znów je przybliżał, wzmagając pieśczołę.

Jenny poddała się fali pożądania. Tray wzniecił w niej ogień. Przestała być opanowana i ostrożna. Spalało ją podniecenie. Promieniowała z niej teraz najbardziej prymitywna energia.

Dłonie Jenny odnalazły jedwabiste, spłowiałe od słońca włosy leżącego na niej mężczyzny. Przycisnęła brzuch do jego bioder. Przyłgnęła piersiami do umięśnionego torsu.

Tak. To było to, czego od dawna pragnęła.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że jest kobietą. Prawdziwą kobietą.

Oderwał usta od jej warg. Ujął w dłonie głowę Jenny i wpatrywał się uważnie w roznamiętnione niebieskie oczy, które go uwiodły. Starał się przeniknąć je na wylot. Wyczytać w nich wszystko.

- Nie boisz się - stwierdził miękkiem głosem. Złagodniały rysy jego twarzy. Uśmiechnął się ciepło i czule. Z niezwykłą delikatnością wycisnął na wargach Jenny lekki pocałunek. - Posłuchaj - szepnął. - To jeszcze nie jest wszystko, co nas łączy. Będzie więcej...

Jenny westchnęła głęboko.

- To... to już jest więcej, niż kiedykolwiek doznałam.
- Taka właśnie jest miłość -po chwili odezwał się Tray.
- Zakochałem się w tobie, Jenny Louise Rossi. Musisz o tym wiedzieć. Nie masz pojęcia, jak długo czekałem na tę chwilę. Na to, co robimy teraz razem. Jest tak dobrze, tak uroczo. ..tak pięknie!..

W oczach Jenny zaszklily się łzy. Tray nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić swoje uczucia. Fakt, że przedkłada emocje nad czysto fizyczną przyjemność, był dla Jenny niezwykle ważny.

Dłońmi drżącymi ze wzruszenia objęła Traya za szyję. Jej drżące wargi nie były w stanie wymówić słów, które cisnęły się jej do gardła: Ja także cię kocham.

- Jenny...

Wyszeptał to imię tak, jakby osoba, która je nosiła, była kimś absolutnie cudownym. Kiedy zaczął ją całować, wzmoгло się jego pożądanie.

Jenny zaczęła brać udział w miłosnej grze. Ich języki wykonywały erotyczny taniec.

Trzymając się mocno w objęciach, tarzali się na kołdrze leżącej pod gigantycznym kaktusem, w blasku zachodzącego pustynnego słońca.

Znaleźli w sobie dość siły, by wykazać się niezwykłą wręcz cierpliwością; Przedłużali wstępne pieszczoty. Potrafili, cieszyć się każdą chwilą pierwszego zespolenia. Miłosnego aktu, który będą pamiętali przez całe życie. Wyrzaje się im w pamięci każdy dotyk; każde spojrzenie i każde nowe odkrycie. Te właśnie chwile stały się dla nich najważniejsze.

Drżącą ręką Tray odpinał powoli guziki przy bluzce Jenny. Nie miała na sobie biustonosza. Odsunął poły bluzki, a widok, który ukazał się jego oczom, wprawił go w zachwyt i wywołał następną falę pożądania.

Dłonie Traya zaczęły poruszać się szybciej i coraz bardziej niecierpliwie. Jak niewidomy, dotykiem sprawdzał gładkość jedwabistej skóry i miękkość gorących piersi. Jego usta drażniły łaknące pieszczoty, sterczące sutki. Ssał je i lekko kąsał.

Ciało Jenny wygięło się w łuk. W miarę jak tonęła w czeluściach złotych oczu Traya, coraz mocniej wbijała palce w jego ramiona. Głód pożądania sprawił, że stała się wilgotna. I niecierpliwa.

Odruchowo zaczęła zmysłowo poruszać biodrami. Traya cieszyła powolną grą miłosną, lecz jego ciało zaczęło gwałtownie domagać się spełnienia. Zrzucił z siebie ubranie, a potem pomógł Jenny pozbyć się dzinsów. Ledwie panował nad sobą. Ale dla tej niezwyklej kobiety był gotów uczynić wszystko.

Nie dzieliły ich już żadne ubrania. Ani wątpliwości. Żadne zahamowania.

Jenny zachwycała się ciałem Traya. Ponad jego umiejętnymi ramionami lśniło nisko na niebie wieczorne, zachodzące słońce.

Gorące, pustynne powietrze stygło szybko. Jego powiew przyjemnie chłodził rozgorączkowane ciała, Jenny zdawało się, że przeżywa cudowny sen; na jawie. Jej dotychczasowe senne marzenia nigdy nie były tak wyraziste.

Palce Traya pieściły piersi Jenny, gdy ostrożnie i powoli wsuwał się między jej uda, W oczach leżącej zobaczył dzikie, nieokiełznane pożądanie, Powtarzała szeptem jego imię:

- Tray... Tray... Tray...

Słyszac, jak wymawiają je wilgotne, obrzmiałe kobiece wargi, Tray poczuł się bardziej kochany, lepiej przyjmowany i potrzebniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Wtulił się w nią. Aż jęknęła z wrażenia.

- Jenny, spójrz na mnie - zażądał szorstkim z podniecenia głosem. - Spójrz na mnie.

Ledwie go słyszała, bo tak głośno biło jej serce. Zmusiła się, żeby wytrzymać palący wzrok Traya. Poczerwieniała na twarzy i szyi. Niech to się stanie teraz, pomyślała. Nigdy tak bardzo na niczym jej nie zależało.

Patrzyła Trayowi prosto w oczy, chcąc przekazać mu swoje gorące pragnienie. Zrozumiał jej prośbę.

Naprężył ciało.

Powoli... Powoli...

Oczy Traya rozszerzyły się i zaraz potem, skoncentrowane na twarzy Jenny, zasnuły mgłą, tak jakby obezwładniła go siła przeżywanych doznań.

Pragnął myśleć o kobiecie, która pod nim leżała lecz już nie potrafił.

Potrzebował jej. Potrzebował... Potrzebował...

W krótkich chwilach przytomności Jenny zauważała wysiłki Traya. Za wszelką cenę starał się nie stracić samokontroli. Chciała, żeby mu sięto przestało udawać. Pragnęła, żeby zawiadnęły nim wszechpotężne zmysły,

Celowo rozsunała nogi.

Poczuła, jak zadrżała na całym ciele. Chwilę potem przyciągnął ją mocno do siebie. Jego ciało zaczęło wykonywać zmysłowe, rytmiczne ruchy.

Był zdziwiony, gdy biodra Jenny przejęły inicjatywę. Zaczęły kołysać się, sprawiając, że wchodził w nią coraz głębiej. Jenny szalała z pożądania. Walczyła o wyzwolenie. Z napięcia. Tylko on, Tray, mógł je rozładować.

Zaczęła krzyczeć:

I w tym momencie przestał się kontrolować.

Wbił się mocno w jej ciało. Raz. Drugi. Dziesiąty.

W przeblysku świadomości zobaczył, jak Jenny gwałtownym gestem odrzuca głowę w tył i tak silnie zagryza wargę, że pojawia się na niej kropelka krwi.

Widok ten podniecił Traya jeszcze bardziej. Zaczął mocniej ją pieścić.

- Kocham cię - szeptał zduszonym głosem. - Kocham cię... Kocham... Och, Jenny...

Usłyszał jęk rozkoszy. Świadomość, że potrafił doprowadzić ją do stanu najwyższej ekstazy, jeszcze bardziej wzmogła jego doznania. Gwałtownym ruchem przycisnął Jenny do ziemi. Wchodził w nią coraz mocniej. Jeszcze nigdy nie czuł się tak silny. Jenny i on stanowili jedność. Rejestrował każdy jej ruch, każde uderzenie serca. Umysłem i całym ciałem odczuwał rozkosz, której doznawała.

Po chwili przestał się kontrolować. Ekstaza i ból jak nawałnica ogarnęły jego ciało. Jęki rozkoszy rozchodziły się daleko i odbijały echem w surowej pustynnej scenerii.

Na krótką obezwładniającą chwilę wszystko stało się jednością. Mężczyzna i kobieta, światło i ciemność, niebo i ziemia.

Po twarzy Jenny popłynęły łzy szczęścia. Rozchyliła obrzmiałe wargi i szepnęła:

- Dziękuję.

Na jej drżących ustach pojawił się uśmiech. Pocałowała Traya w lewy kącik ust. Potem w prawy. Na końcu w sam środek.

- Jenny...- wyszeptał.

Nad ich obnażonymi ciałami rozpościerało się ciemniejące niebo. Kochankowie wydawali się częścią natury.

- Już nigdy więcej nie przeżyję czegoś równie pięknego
- wyszeptała Jenny. - Nigdy.

Tray objął ją mocno, chcąc przedłużyć chwilę wspólnego szczęścia.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po raz pierwszy w życiu Jenny spała na puchowym materacu w ogromnym, drewnianym łożu z czterema kolumnami.

Po raz pierwszy w życiu poszła spać nago.

I po raz pierwszy w życiu spała obok mężczyzny, którego szczerze pokochała.

Obudziła się w środku nocy. Poczowała, że Tray tuli twarz do jej piersi. Półprzytomna, obróciła się i przycisnęła do siebie jego głowę.

Znów ogarnęła ich fala podniecenia. Byli nienasyчени.

Tym razem jednak kochali się inaczej niż przedtem. Trayowi zależało wyłącznie na daniu jej rozkoszy. Robił takie rzeczy, o jakich nigdy nawet nie słyszała.

Z ogromną delikatnością i czule wprowadzał ją w świat wyrafinowanej erotyki, w którym nigdy przedtem nie była, a który on znał dobrze. Sprawił, że o swoim ciele dowiedziała się całkiem nowych rzeczy. Poznała jego reakcje. Kunsztowną grą miłości Tray sprawił, że odczuła potęgę własnej kobiecości.

Stopniowo i bardzo powoli nasilał pieśszczoty. Jenny odkrywała nowe, cudowne krainy szczęścia. Znajdowała się w coraz silniejszym stanie napięcia. Dzięki Trayowi przebyła długą i piękną drogę. Od całkowitego spokoju ledwie rozbudzonych zmysłów do całkowitego szaleństwa.

Kiedy ostatecznie poddała się pożądaniu, miała ochotę

szeptać słowa miłości, które jednak więzły jej w gardle, gdyż zalewały ją fale namiętności. Wreszcie Tray sprawiła że oboje sięgnęli szczytu. Czegoś podobnie szalonego i upojnego Jeiny nawet sobie nie wyobrażała.

Nastał piękny ranek.

Jenny obudziła się. Z zamkniętymi oczyma uprzytomniła sobie, gdzie jest i co się z nią dzieło. Odczuwała rozkoszne rozleniwienie. Była rozgrzana, nasycona i zadowolona,

Kochała i była kochana. Z pełną wzajemnością.

Wiedziała, że kiedy otworzy oczy, ujrzy uśmiech na twarzy Traya. Będzie patrzył na nią z radością i całkowitym oddaniem.

Odwróciła głowę. Ze zdziwieniem zobaczyła, że jest sama. Traya obok niej nie było. Radosny poranek stracił nagle swój urok.

Zeszła z łóżka. Owinęła się kołdrą. Być może Tray robił śniadanie. Lub przygotowuje kąpiel dla obojga. A może po prostu wstał, bóg nie chciał jej budzić.

Otworzyła drzwi sypialni i nagle usłyszała rozmowę. Z drugiego pokoju dochodziły jakieś podniesione głosy. A więc był jeszcze jeden powód, dla którego nie znalazła Traya obok siebie. Powód znacznie mniej przyjemny niż pozostałe.

Być może wrócił Kitt.

Jenny oparła się o ścianę. Nie musiała wyęzwać słuchu, gdyż rozmowa była głośna. Głos Traya brzmiał dźwięcznie i wyniośle.

- Chcesz wmówić we mnie, że był to pomysł Jenny? Kitt, nie zrzucaj na nią winy, bo w to nie uwierzę. Znam cię jak zły szeląg. Dlaczego, do diabła, zrobiłeś coś takiego? Na jakiej podstawie uznałeś, że dasz sobie radę?

Przerażona Jenny zakryła usta ręką. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby Tray mówił tak ostrym tonem. Poczuli się okropnie. Uwięziona w pułapce, osaczona i wyklęta: Dlaczego sama nie wyjawiała Trayowi swego pomysłu i nie przyznała się do winy? Czemu nie powiedziała, że Kitt występował w jego roli?

- Już mówiłem ei, jak to się stało - wymamrotał Kitt.

- Zresztą miało być inaczej. My... to znaczy ja usiłowałem zrobić ci przysługę. Nie przypuszczałem, że sprawy tak bardzo się skomplikują.

- Chciałeś zrobić mi przysługę? Zdumiewające. Sprawiliś, że straciłem zwolenników mojego pomysłu na całą sieć nowych hoteli. Czemu, do licha, nie dałeś mi znać, że na dziś rano wyznaczono nowy termin narady?

Kitt odchrząknął głośno.

- Uspokój się, Tray. Obaj świetnie wiemy, że w sytuacjach podbramkowych jesteś bardzo dobry. Za każdym razem, kiedy narozrabiałem, wyciągałeś mnie z opresji i ratowałeś. Jestem przekonany, że i tym razem potrafisz...

- Ocknij się, Kitt! - Słyszając te słowa, ostro wypowiedziane przez Traya, Jenny drgnęła gwałtownie. - Czy nie rozumiesz, że sprawa umowy jest już nieaktualna? Z tego, co słyszę, wynika, że potencjalni inwestorzy są już w samolocie, w drodze powrotnej do Los Angeles. A ja zostaję na lodzie z zawartymi kontraktami na zakup nowych terenów. Nie będę w stanie się wywiązać z tych umów. Wygląda na to, że przegrałem na całej linii. Stracę White Mesa, zainwestowane pieniądze, zastawione przez mnie aktywa... Jednym słowem, wszystko.

- Przepraszam. - Głos Kitta był tak cichy, że Jenny ledwie go słyszała. - Miałem dobre intencje. Chciałem ci

pomóc. Tray. Jeśli jest coś, co mógłbym jeszcze naprawić...

- Za późno, bracie. Robiłeś już różne głupie rzeczy, ale ta, muszę przyznać, stanowi twoje koronne osiągnięcie. W ciągu dwudziestu czterech godzin udało ci się zniszczyć wszystko, co ciężką pracą osiągnąłem przez dziesięć lat. Stary, wygrałeś. A ja jestem na dnie. - Tray roześmiał się ponuro. - Nie należy brać wszystkiego zbyt serio. Czy nie tak zawsze mi powtarzasz? Najważniejsze, że dobrze się bawiłeś. Mam rację?

- Usiłowałem ci pomóc - powtarzał Kitt. - Słuchaj, być może popełniłem parę błędów, ale czy naprawdę sądzisz, że wszystko schrzaniłem celowo? Fakt, że nie powinienem się włączać do tej gry, ale moje intencje były...

- Dość tego. Oszczędź sobie dalszych wyjaśnień - przerwał bratu Tray. - Ćwiczyliśmy to zbyt wiele razy. Kitt, ty się nigdy nie zmienisz. Dla ciebie życie to zabawa. Nigdy do niczego nie przywiązywałeś wagi. Jesteś egoistą. I zawsze nim będziesz.

Serce podeszło Jenny do gardła. Po twarzy spływały jej łzy. Myśli, jak szalone, krążyły jej po głowie, ale wiedziała jedno. Musi Trayowi powiedzieć prawdę. Nie wolno dopuścić do tego, żeby o wszystko obwiniął brata. To ona była odpowiedzialna za całą tę katastrofę.

Przyciskając kołdrę do piersi, zbliżyła się do braci.

Tray był zwrócony do niej plecami. Ponad jego ramieniem dojrzała twarz Kitta i jego zdumiony wzrok. Już otwierała usta, kiedy ledwie dostrzegalnym ruchem głowy nakazał jej milczenie.

- Tray, mówiłem, że jest mi przykro - odezwał się znowu. - Nigdy nie pojmiesz, jak bardzo. Jeśli jest coś, co mogę zrobić...

- Jenny jeszcze śpi - odezwał się Tray. - Kiedy się obudzi, odwieź ją do Phoenix, do hotelu. Nie chcę, żeby się martwiła. Powiedz tylko, że muszę się zająć jakąś ważną sprawą. Sam bym ją odwiózł, ale muszę się spieszyć, żeby zdążyć na nocny lot do Los Angeles. Może jakiś cud sprawi, że uda mi się cokolwiek ocalić.

Jenny cofnęła się w głąb korytarza i zamknęła oczy. Poczowała ból w piersi. Tray wyjeżdżał. A ona, jak ostatni tchórz, dopuściła do tego, by myślał, iż to Kitt jest odpowiedzialny za zrujnowanie mu życia. Kiedy Tray odkryje prawdę, jakiebędą jego uczucia w stosunku do Jenny Louise Rossi?

Usłyszała, trzaśnięcie drzwiami i stek przekleństw, jakimi wychodzący obrzucił krzykliwych kaczyczych strażników. Był wściekły, w morderczym nastroju. Czy mogła winić go za to? Oczywiście, że nie. Dzięki niej może stracić wszystko,

- Droga wolna! - matowym głosem zawołał Kitt.

Jenny stała nadal w korytarzu, przyciskając do siebie kołdrę. Po jej twarzy nieprzerwanie płynęły łzy.

Po kilku minutach zjawił się Kitt.

- Hej, malutka - powiedział łagodnie. - Płaczesz? Zupełnie niepotrzebnie, Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Naprawdę. Przestań się mazać. Nie znoszę kobiecych łez.

- Mam do wyboru: albo płakać, albo się zabić - odparła Jenny zdławionym głosem. - Kitt, dlaczego wziąłeś na siebie całą winę? Czemu zataiłeś przed nim prawdę? Przecież tylko dlatego podszywałeś się pod Traya, boja cię do tego namówiłam.

Wzruszył ramionami.

- Jestem dorosły. Wiem, co robię. Mogłem powiedzieć mu prawdę, ale nie chciałem.

Jenny rzuciła Kitlowi spojrzenie pełne współczucia. Brzegiem kołdry otarła nos.

- Jego życie jest teraz zrujnowane, podobnie jak stosunki z tobą i moje z nim. Wszystko przepadło - rozpacziała.

- Zacznijmy od wyjaśnienia, że Traya i mnie od dawna łączy niewiele - odparł Kitt - A to, co się stało, było moim błędem, uwierz mi. Tray nie może nigdy się dowiedzieć, że maczałaś palce w całej tej aferze. Jenny, on cię kocha. Ślepy by to zauważył. W tak podłej sytuacji, w jakiej się znalazł, nie może na dodatek stracić ciebie. Byłoby to zbyt okrutne.

Jenny z uporem potrząsała głową.

- Nie. Nie dopuszczę do tego, żebyś wziął na siebie całą winę. Gdy tylko Tray wróci, wyznam mu wszystkiego. Powinam zrobić to przedtem, ale... stchórzyłam. Powiem mu.

- Nie.

- Powzięłam decyzję! - Jenny tupnęła nogą. O mało co nie wypuściła z ręki kołdry, która służyła jej za jedyne okrycie. Zaczęła wycofywać się w stronę sypialni. - Nie dopuszczę do tego, żebyś na skutek mojej głupoty rozpadł się twój związek z Trayerh. Stanowicie przeciw rodzinę. Musicie trzymać się razem. A teraz idę się ubrać. Porozmawiamy w samochodzie.

- Och, jasne, że porozmawiamy - ponurym głosem obiecał Kitt. - Będziemy dyskutować dopóty, dopóki nie przestaniesz zachowywać się jak ostatnia kretynka.

Jenny zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni.

Jazda powrotna do Phoenix była nieprzyjemna. Męcząca ze względu na upał, długa i psychicznie wyczerpująca.

- Zdania nie zmienię. Przestańmy na ten temat dyskutować - co chwila stanowczym tonem oznajmiała Jenny.

- Nie możemy - niezmiennie odpowiadał Kitt. -
Wiem, co w tej sytuacji jest najlepsze. I zrobisz to, co ci powiem.

- Tray jest twoim bratem. Nie chcę stwarzać konfliktów między wami. Mogłyby na zawsze popsuć wasze stosunki.

- Nigdy nasze stosunki nie były specjalnie dobre. Ciągłe powstawały między nami sytuacje konfliktowe. Uwierź mi, Jenny. Teraz, akurat teraz Tray potrzebuje ciebie znacznie bardziej niż mnie.

- Nie mogę dopuścić do tego, żeby był przekonany, iż w tej sprawie jestem bez skazy! Mam ogromne poczucie winy. Tray musi wiedzieć, jaka ze mnie nieudacznica. Jestem złym człowiekiem. Wszystko mu wyjawię. Powzięłam decyzję i nic jej nie zmienię.

Tak rozmawiali przez całą drogę.

Dojechali wreszcie na miejsce. W hotelu udali się od razu do biura Traya. Mieli nadzieję, że jego sekretarka ma jakieś pomyślne wieści.

Margaret Keistermeyer zrobiła parę kąśliwych uwag na temat Kitta i jego „występku, zasługującego na potępienie”. Potwierdziła wiadomość, że pan Malone odleciał do Los Angeles i od tamtej pory nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Miał zarezerwowany bilet powrotny. W Phoenix powinien wylądować o ósmej wieczorem. I to było wszystko, czego się dowiedzieli. Jenny pozostawało tylko jedno. Szarpiące nerwy czekanie.

Mamrocząc coś pod nosem, Kitt zabrał ją na górę. Chciała być sama, więc poszedł do swojego pokoju, gdzie zaatakował barek pełen trunków.

Jenny usiadła po turecku na środku łóżka i pdała się

ponurym rozmyślaniom. Była nieszczęśliwa. I to z własnej winy. Tray Malońe ofiarował jej szczęście, radość, miłość i szacunek. A czym mu się za to odpłaciła? Znow załża się łzami,

Było nieistotne, czy Tray, z chwilą gdy dowie się prawdy, kiedykolwiek jej wybaczy. Ona sama nigdy nie będzie w stanie usprawiedliwić przed sobą swego karygodnego postętku. Doceniała wysiłki Kitta mające na celu ratowanie jej dobrych stosunków z Trayem.

Wcześniej czy później Kitt zda sobie sprawę, że jego rycerskie zachowanie się w stosunku do niej nie odniosło żadnego skutku. Sama musi wziąć pełną odpowiedzialność za popełniony błąd, brutalnie kładąc w ten sposób kres krótkotrwałemu szczęściu i niweczając szansę związania się z człowiekiem, którego kochała, a zarazem doprowadziła do bankructwa.

Płacząc, wstała, zdecydowanym krokiem przemierzyła pokój i podeszła do biurka. Wyciągnęła z szuflady hotelową papeterię. Wyjęła z niej arkusik papieru. Usiadła, wzięła do ręki długopis i zaczęła pisać.

„Drogi Trayu!

Zanim wrócisz, już mnie tu nie będzie. Zależy mi jednak na tym, abyś dowiedział się o trzech rzeczach.

Po pierwsze, kocham cię i zawsze będę kochała. Proszę, pamiętaj o tym wyznaniu, gdy będziesz czytał dalszy ciąg listu.

Po drugie, Kitt nie jest odpowiedzialny za fiasko umowy na sieć hoteli. Był to mój pomysł, żeby zastąpił cię podczas pertraktacji. Z trudem przekonałam go, by to uczynił i udawał, że jest tobą. Chciałam odizolować cię od spraw służbowych i zostać z tobą sam na sam. Nie zdawałam sobie

sprawy z tego, jak słono za to zapłacisz. W przeciwnym razie nigdy bym nie postąpiła tak bezmyślnie. Zachowałam się egoistycznie i bardzo głupio. Mam nadzieję, że kiedyś nastanie dzień, w którym przestaniesz mnie choć trochę nienawidzić.

Po trzecie, powinieneś wiedzieć, że Kitt bardzo cię kocha i życzy ci jak najlepiej. Wziął na siebie całą odpowiedzialność za fiasko umowy po to, żeby mnie osłonić. Zależy mu na tym, abyś był szczęśliwy.

Zamierzam wrócić do domu, zamieszkać na stałe z matką i resztę życia spędzić na gotowaniu dla innych ludzi. Zasłużyłam sobie w pełni na taki marny los.

Z wyrazami miłości Jenny Louise Rossi

RS. Przeżyłam tu najpiękniejszą przygodę mego życia. Nigdy nie zapomnę cudownych chwil, które spędziliśmy razem".

I to było wszystko.

Nastał czas powrotu do domu. Do unormowanego, monotonnego, jałowego i nudnego życia. Oto kara za to, że zniszczyła wszystko, co tylko mogła.

Pociągając nosem i popłakując, szybko spakowała swoje rzeczy.

Wiedziała, że jest tchórzem. Chciała, żeby Tray poznał prawdę, ale bała się spojrzeć mu w oczy. Kiedy się dowie, że żadna przygód uciekiniarka z Toluca w stanie Teksas zrujnowała mu życie, pragnęła być już daleko.

Wezwała chłopca hotelowego, żeby zabrał bagaże. Starał się nie zauważać podpuchniętych, czerwonych oczu Jenny. Kiedy opuścił pokój, podeszła do okna. Pełna rozpacz, utkwiała wzrok w oświetlonym basenie. Żegnała się z wolnością, której pragnęła. A także z nadzieją na przy-

szłe szczęście, Teraz, gdy zdołała przeżyć chwile najlepsze i najgorsze, co jeszcze jej pozostało?

Nic.

Kiedy znalazła się w recepcji, minęło pół do ósmej. Samolot Traya miał wylądować dopiero za pół godziny. Na opuszczenie hotelu i wyjazd z miasta pozostało jej więc jeszcze dużo czasu.

W recepcji zostawiła list do Traya, prosząc o doręczenie go niezwłocznie,

Mały, żółty, sportowy samochód czekał na podjeździe przed hotelem. Obok stał portier. Jenny dała mu suty napiwek.

Ruszyła w drogę.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nikt nie potrafił tak cierpieć jak Jenny Louise Rossi.

Ale gdy tylko do czegoś się zabierała, robiła to z zapałem. Z tego, powodu, jakieś dziesięć 4m po powrocie do Toluca, spędzała piątkowy wieczór w Miejskim Ośrodku Rekreacji. Z matką i Dermisem Butzem, komiwojażerem z Centerville, namiętnie oddawała się grze w bingo. Freda poznała Dennisa podczas jednej z podróży. Mieli wspólne upodobania. Oboje pasjonowali się grą w bingo, rozwiązywaniem łamigłówek i długimi, popołudniowymi wypadami poza miasto. Bardzo długimi, zważywszy na fakt, że Dennis w swym cadillacu rocznik 1972 utrzymywał na szosie stałą prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę. Jenny czasami jeździła z nimi tylko po to, żeby się umarwiać. Nie zasługiwała na lepszy los.

- B-6 - oznajmiła Freda, łokciem szturchając córkę.

- Jenny, masz to na swojej karcie. Graj uważniej. Przestań myśleć o niebieskich migdałach. Przecież nie chcemy, żeby Dennis uznał cię za lunaticzkę. Mam rację?

Dennis roześmiał się głośno.

- Oj, Freda, Freda. Twoja córka jest urocza, dowcipna i zabawna. Wdała się w swoją śliczną matkę. Twoja kolej... Jenny, masz I-12. W porządku.

Jenny wyprostowała się. Matka i Dennis zaglądali jej przez ramię. Komiwojażer tryskał humorem, dowcipkował i prawil komplementy. Być może takie zachowanie współ-

grało z wykonywanym przez niego zawodem. Jenny była zadowolona, że pojawił się w życiu matki. Freda ostatnio wyraźnie się ożywiła. Na szczęście dla Jenny miała mniej czasu, żeby interesować się córką i krytykować ją bez przerwy.

- Patrzcie! - wykrzyknęła Freda. - Mam prawie bingo! Jeszcze mi się to nie zdarzyło. Zawsze mam pecha.

- Zobaczysz, że dopisze ci szczęście - pocieszał ją Dennis. - Coś mówi mi, że dziś wygrasz. Należy ci się to. Takiej pięknej kobiecie...

Freda oblała się rumieńcem.

- Dennis, jesteś niepoprawny. Swoje pochlebstwa zachowaj dla kogoś, kto w nie uwierzy.

- Och, Fredo, Fredo. - Dennis westchnął i spojrzał na Jenny. - Twoja matka to osoba bardzo skromna. Co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem?

Jenny rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła ósma trzydziści, a jej wydawało się, że gra w bingo ciągnie się od wieków

- Mamo, oddaję kartę w twoje kompetentne ręce i idę do toalety. Przepraszam, Dennis.

- No, nie wiem, czy postępujesz rozsądnie. Uważasz, że możesz mi zaufać, zostawiając matkę pod moją opieką?

- Na litość boską, na sali jest siedemdziesiąt pięć osób - wtrąciła Freda. Znów się zarumieniła. - Dennis, jak możesz wygadywać takie głupstwa? Co Jenny sobie pomyśli?

- Pomyśli sobie, że dobrze się bawisz w towarzystwie sympatycznego mężczyzny - odparła Jenny, odsuwając krzesło. - Wracam za kilka minut. Dennis, nie pozwól jej oszukiwać.

Odchodząc od stolika, Usłyszała chichot matki. Jenny nigdy nie widziała jej tak rozbawionej. Dowodziło to jed-

nego. Że niektórym ludziom życie przynosi radosne niespodzianki. Inni są skazani na wieczną monotonię, nudę i beznadziejność...

Otworzyła drzwi damskiej toalety. W oczach miała łzy. Były dla niej czymś zupełnie naturalnym, odkąd wpadła w depresję. Egzystencja, do której powróciła, drażniła ją bez przerwy. Dlatego, że wiedziała, czego jej brak.

Straciła Traya Malone'a.

Jenny popatrzyła na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką. Zastanawiała się, jak długo uda się jej ukrywać w toalecie, zanim zjawi się po nią matka.

Stało się to szybciej, niż przypuszczała.

- Jenny Louise? - Freda Rossi wsunęła głowę przez uchylone drzwi, - Już prawie dziewiąta.

Jenny zazgrzytała zębami, ale obdarzyła matkę nikłym uśmiechem.

- Chciałabym pójść spać.

- Kochana, całkiem zapomniałam, że dziś wieczorem nadają w telewizji kryminał, który chciałam zobaczyć. Jeśli się pospieszymy...

Freda zniknęła. W holu zrobiło się jakieś zamieszanie. Drzwi do toalety otworzyły się ponownie.

- Przyszedł jakiś dziwaczny człowiek - oznajmiła Freda. - Ma na sobie bawełnianą koszulkę z wizerunkiem Myszki Miki. Mówi, że chce z tobą rozmawiać.

Z wrażenia Jenny aż zatkało. Zanim zdołała się odezwać, matka odeszła od drzwi i nadal rozmawiała z przybyszem. W Toluca nie było dziwacznych mężczyzn. Tutajsi mieszkańcy to ludzie najzwyczajni pod słońcem. Normalni i nudni. Jedynym dziwaczny mężczyzną, jakiego знаła Jenny i który nosił koszulkę z wizerunkiem Myszki Miki, był Kitt Malone,

Czemu nie zjawił się tutaj inny mężczyzna, ubrany w garnitur od Armaniego? pomyślała zawiedziona.

Tym razem drzwi do toalety otworzyły się szeroko. Freda zagradzała drogę dziwaczemu mężczyźnie, który chciał dostać się do środka. Między drzwi wsunął wysoki, jasnobrązowy but.

- Pani Rossi, nie jestem przestępcą - odezwał się uspokajającym tonem. - Proszę zapytać córkę. Jenny, odezwij się. Powiedz matce, że jestem przyzwoitym facetem.

Freda rzuciła córce spojrzenie pełne niepokoju.

- Kim jest ten człowiek? - spytała. - Skąd go znasz? Ma kolczyk w uchu - dodała z nie ukrywanym obrzydzeniem.

- Jest zupełnie niegroźny - odparła Jenny. - To Kitt Malone. Mój przyjaciel. Wpuść go, mamó!

- Idę po Dennisa - warknęła Freda.

Gość wszedł do środka. Jego wysokie buty skrzypiały na kafelkowej podłodze.

- Nie wiem, kim jest Dennis, ale tutaj nie ma miejsca dla dwóch mężczyzn - stwierdził, rozejrzawszy się wokół. - Będzie musiał zająć jedną z kabin.

- Zaraz wracam - zagroziła Freda.

Kiedy dziarskim krokiem wymaszerowała z toalety, gość aż gwizdnął z wrażenia.

- Twoja mama to fajna babka. Zachowuje się jak Terminator.

- Jest osobą bardzo konserwatywną. Dzisiejszej nocy przez ciebie ani na chwilę nie zmruży oka. Kitt, co ty tu robisz?

Wetknął ręce do kieszeni. Był w krótkich spodenkach. Uśmiechnął się szeroko i łagodnie.

- Słonko, czyżbyś za mną nie tęskniła?

Jenny poczuła ból w sercu. Kitt uśmiechał się identycz-

nie jak Tray. Miał takie same złote oczy, które co noc prześladowały ją w snach. Gdyby tylko koszulkę i szorty zastąpić garniturem, a także szesać włosy z czoła...

- Przekłułeś sobie ucho - stwierdziła.

- Aha. - Gość oparł się o ścianę. Skrzyżował ręce na piersiach. - Cholernie bolało. Podoba ci się?

Jenny uśmiechnęła się blado.

- To jesteś ty. Więc...

Gość uniósł brwi.

- Więc co?

- Świetnie wiesz, co mam na myśli. Jak czuje się Tray?

- Okropnie - odparł przybysz - Gorzej niż źle. Jest kompletnie załamany. W pełni nieszczęśliwy.

- Och, Boże! - jęknęła Jenny. Z jej oczu trysnęły łzy.

- Stracił wszystko, prawda?

- Tak. - Gość skinął głową. Posmutniał. - Wszystko.

- Musi mnie nienawidzić. To znaczy nienawidzi - Jenny poprawiła się szybko.

-Nie.

- Jasne, że tak. Przecież powiedziałeś, że stracił wszystko. Jest bankrutem. Nie ma już hotelu, a jego plany...

- Och, mówisz o tym. - Gość lekceważąco machnął ręką. - Powinnaś bardziej w niego wierzyć. Ocalił swoją umowę na sieć nowych hoteli. W takich sytuacjach zachowuje się jak chytry lis. Cwany i bystry.

Zdumiona Jenny podniosła wzrok.

- Mówiłeś, że stracił wszystko,

- Tak. - Gość wyprostował się i powoli podszedł do Jenny. Ujął w dłonie jej twarz. - Stracił ciebie.

Jak urzeczona, Jenny wpatrywała się w stojącego przed nią mężczyznę. Te oczy... Znajomy dotyk dłoni... Jeszcze nigdy tak bardzo nie tęskniła do Traya,

- Nawet mnie nie poznałaś - z wyrzutem odezwał się gość. - Jest mi bardzo przykro.

-Tray?!

- Cieszę się, że przynajmniej pamiętasz moje imię. - Położył dłoń na szyi Jenny. Przyglądał się jej z nieklamana radością. - Brakowało mi ciebie, Jenny Louise Rossi. Tęskniłem... Tęskniłem... Tęskniłem...

Wargami dotknął czule jej ust.

Jenny zamknęła oczy. Czowała, jak uginają się pod nią kolana.

- A teraz mnie poznajesz? - szepnął, na chwilę odrywając wargi od jej skóry.

- Niezupełnie - odparła. - Jest w tobie coś znajomego, lecz...

Tym razem pocałunek nie był ani czuły, ani delikatny. Tray gwałtownie przyciągnął Jenny do siebie. Natarł na nią całym ciałem. Poczowała przypływ pożądania. W plecy wbił się jej blat umywalki. Tray boleśnie uderzył łokciem o wiszący na ścianie pojemnik z papierowymi ręcznikami i zaklął głośno. Jenny zaczęła chichotać.

- Możesz się śmiać - mruknął. - Tu nic nie zdziałyśmy. Pocałowała go w szyję.

- Poddajesz się stanowczo za szybko. Spróbuj...

Dłonie Traja znalazły się na pośladkach Jenny. Mocno przyciągnął ją do siebie. Owinęła nogi wokół jego ud.

- Jesteś niebezpieczną dziewczynką - głosem schrypiętym z wrażenia szepnął Tray.

W damskiej toalecie zapanowała cisza.

Nie na długo, gdyż po chwili otworzyły się drzwi. Wkroczyła Freda Rossi, ciągnąc za sobą Dennisa.

- Jenny Louise - zaczęła ostrym tonem - możesz mieć w nosie to, co ludzie powiedzą o tobie, ale... - Jej oczy

rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy ujrzała córkę, siedzącą na brzegu umywalki. - Dobry Boże... Jenny Louise... Dennis...

Jenny zeskoczyła z umywalki. Wzięła Traya za rękę. Z trudem tłumiała śmiech.

- Mówiłem, że nic nie działyśmy w tej przeklętej damskiej toalecie - odezwał się Tray.

- Ja też nie czuję się tu dobrze - dorzucił Dennis. Wziął Fredę za ramię. - Myśleliśmy, że Jenny może potrzebować... Ale widzę, że sytuacja jest opanowana. Fredo, już po dziewiątej. Chodźmy, bo nie zdążysz obejrzeć filmu.

- Pani Rossi - zaczął Tray, nie spuszczać wzroku z Jenny. - Kocham pani córkę. I zwykle chodzę inaczej ubrany.

Jenny potwierdzająco skinęła głową.

- Tak. Ubiera się inaczej. Mamo, polubisz go na pewno. On się naprawdę starannie myje.

Z trudem powstrzymując śmiech, Dennis wyprowadził Fredę z ciasnego pomieszczenia.

- Miły facet - uznał Tray.

Pocałował Jenny w czubek nosa.

- Tray, dlaczego jesteś tak ubrany? - spytała.

- Ten strój wykombinował mi Kitt. Powiedział, że jeśli chcę wystąpić w roli romansowego bohatera, muszę wyglądać bombowo.

- Jak układa ci się z bratem? - ostrożnie spytała Jenny.

- Zaczął pracować w hotelu. Pomaga w zarządzaniu. Nigdy przedtem nie zgłaszało się do pracy aż tyle młodych kobiet.

- Przyjechałeś po mnie. Aż trudno, w to uwierzyć. Odnalazłeś mnie w sali gry w bingo. To najbardziej romantyczna rzecz, jaką mi się przydarzyła.

- Zjawilibym się wcześniej, ale musiałem robić porządkę po... huraganie o nazwie Jenny.

- Tray, tak mi przykro... Nie chciałam...

- Przestań, proszę. - Pocałował Jenny. - Uwielbiam cię, dziewczyno. Wiem, że czeka mnie z tobą ciężki los, ale jakoś sobie poradzę. Jedź ze mną i spraw, aby moje dalsze życie było zwariowane i pełne niespodzianek.

- Chcesz być ze mną? Naprawdę?

- Czy chcę? Jesteś jedyną kobietą, którą kocham.

Wprowadziłaś chaos do mojego życia. Dzięki tobie wiem, co to znaczy zachowywać się irracjonalnie.

- Czy dobrze ci z tym? - z niepokojem spytała Jenny.

Tray uśmiechnął się i znów ją pocałował.

- Bardzo dobrze - zapewnił.

- Ale nie ja namówiłam cię, żebyś chodził z kolczykiem w uchu. Zrobił to Kitt. Mam rację?

- Tak. Ale co do reszty...

- Wiem. Moja to sprawa - z nie ukrywaną satysfakcją oświadczyła Jenny.

- Tak. - Tray uśmiechnął się promiennie. - Wszystko zawdzięczam tobie, Jenny, Louise Rossi. Wszystko.